

Mary Norton

POŻYCZALSCY

NA WYSPIE

Nasza Księgarnia

Warszawa

1972

Prze/ożyJa MAR/A WISŁOWSKA

Tytuł oryginału angielskiego

„THE BORROWERS AFLOAT”

J. M. Dent & Sons Ltd., London 1959

Ilustrował ANDRZEJ STRUMIŁŁO

fiÓZDZIAŁ PIERWSZY

— Ale o czym oni tyle czasu rozmawiają? — zapytał pan mecenas Piórko.

Powiedział to z takim rozdrażnieniem, jak gdyby z góry uważał, że mogą mówić tylko o jakichś tam głupstwach.

— O Pożyczalskich * — odparła krótko pani May.

Stali oboje na skarpie pod żywopłotem, ciągnącym się wzdłuż zagonków kapusty o wielkich, zielonych główkach. Był przejmujący chłodem i wilgocią zmierzch. Poniżej, w oknie leśniczówki, migotało ciepłe światło.

— Można by tu założyć sad owocowy — rzekła pani May, jakby wolała zmienić temat rozmowy.

— W naszym wieku — zauważył pan Piórko, nie odrywając oczu od oświetlonego okna — w wieku moim i pani rozsądniej jest sadzić kwiaty niż drzewa owocowe.

* Wcześniejsze dzieje Pożyczalskich opisane są w tomach: „Kłopoty rodu Pożyczalskich” („Nasza Księgarnia” 1960) i „Pożyczalscy idą w świat” („Nasza Księgarnia” 1963).

— Tak pan sądzi? — odpowiedziała pani May. Powiał silny wiatr i pani May otuliła się płaszczem, który miała na sobie.

— Ale przecież zostawię jej ten domek, razem ze wszystkim, w testamencie.

— Komu?

— Kasi, mojej wychowance.

Wiedział, że za oświetlonym oknem w leśniczówce siedzi właśnie Kasia.

„Dziwne dziecko — pomyślał — czasami patrzy tak przed siebie jakby niewidzącymi oczyma... a czasem znów potrafi godzinami rozmawiać z tym starym Tomem Pocziwcem, który kiedyś, jako gajowy, bynajmniej nie cieszył się dobrą opinią. Co oni mogą mieć z sobą wspólnego, ten stary ciamajda, gaduła i ta ciekawa, żywa dziewczynka? Teraz także — rzucił okiem na zegarek — już ponad godzinę gadają, gadają, gadają...”

— Pożyczalscy? — powtórzył na głos, jakby dopiero w tej chwili dobiegło do niego to słowo. — Co to za „Pożyczalscy”?

— Och, to tylko taka bajeczka — odparła pani May, ostrożnie zstępując pomiędzy zagonka-mi zroszonej deszczem kapusty w kierunku zwirowanej ścieżki. — Opowiadaliśmy ją sobie, mój brat i ja, kiedy mieszkaliśmy tutaj jako dzieci.

— We Wrzosowym Wzgórzu?

—i Tak, razem z ciotką Zofią. Kasia bardzo lubi o tym słuchać.

••.%,

| -•••-••• |

•v

»*«

e ©<»•&*'

i* 9

— I opowiada te bajki temu staremu?

— Tomowi? Może. Ale chyba jest Ba ©dwrót: raczej on jej opowiada.

Kiedy idąc cały czas w dół, znaleźli się wreszcie na mokrej od deszczu ścieżce, mecenas Piórko zamilkł. Znał całą rodzinę od dawna i właściwie wszyscy jej członkowie — uświadomił sobie to dopiero teraz —

wydawali mu się jacyś dziwni.

— Tę bajeczkę wymyśliła przecież pani sama?

— Nie, nie ja — uśmiechnęła się pani May, trochę zakłopotana — raczej mój braciszek. Jeśli w ogóle została wymyślona — dodała po chwili, zaczerpnąwszy tchu.

• Pan Piórko uczeplił się tych słów.

— Jak to, nie rozumiem? A więc ta historia, o której pani wspomina, zdarzyła się rzeczywiście?

Pani May roześmiała się.

— O, nie, tego nie powiedziałam. Nie wiem przecież...

I idąc dalej, rzuciła przez ramię:

— Właśnie ten gajowy, ten stary Tom Poczwiwiec, podobno zna wiele szczegółów...

— Szczegółów? O tych krasnoludkach?

— To nie krasnoludki — poprawiła pani May z całą powagą. — To Pożyczalscy.

— Rozumiem — odparł pan Piórko, choć prawdę mówiąc, niewiele rozumiał.

— Nazwaliśmy ich tak właśnie — rzekła pani

r

::^wmim^v>v

May, przystając na chwilę, żeby pan Piórko mógł się do niej przyłączyć — czy też oni sami tak siebie nazwali. Dlatego, że oni nie posiadają nic własnego. Było ich troje — ojciec, matka i córeczka — Strączek, Dominika i Arietta.

I gdy pan Piórko znalazł się obok niej, pani May zapytała z przekornym uśmiechem:

— Nie uważa pan, że te wszystkie trzy imiona są bardzo ładne?

— Możliwe — odparł sucho pan Piórko.

Lecz mimo woli uśmiechnął się także. Znał panią May nie od dziś i nieraz spotykał się z jej nieoczekiwanym dowcipem, który w duchu nazywał „ścichapek”. Ale i wtedy, za dawnych lat, kiedy była jeszcze młoda i piękna, ten jej sposób pokpiwania ze wszystkiego nie przypadał mu nigdy do smaku.

— Nic się pani nie zmieniła — zauważył nieco uszczypliwie.

Pani May zmieniła to i powiedziała, teraz już całkiem poważnie:

- Przyzna pan, że nasz stary dom był dziwny... inny niż wszystkie.
- Że był stary, z tym się zgodzę. Ale czy dziwny? Nie sędzę, żeby był bardziej dziwny niż... — spojrzał w oświetlone okno — ta leśniczówka.
- Ach, Kasia na pewno zgodziłaby się z panem! Ona uważa, że leśniczówka jest co najmniej tak samo dziwna, jak dom we Wrzoso-

I* 9

wym Wzgórzu. Wie pan, mój brat i ja od początku mieliśmy wrażenie, że w tym domu mieszkają oprócz ludzi jeszcze jakieś inne żywe istoty.

— Żywe istoty! — powtórzył pan Piórko. — Jeśli nie zwierzęta, to tylko ludzie... Innych żywych istot na ziemi nie ma. Widzę w tym jakiś brak logiki.

— Trudno nam dojść do porozumienia — zauważyła pani May. — Mam na myśli takie małe istotki... dużo mniejsze niż ludzie, ale pod każdym względem podobne do ludzi, tylko że miniaturowych rozmiarów, a poza tym — mieszkające w ukryciu. Wyobrażaliśmy sobie, że kryją się, tak jak myszki, pod podłogą, za boazerią w ścianie... i są całkowicie zależne od tego, co uda im się ściągnąć. Nie można powiedzieć o nich, że kradną; raczej gromadzą zapasy, a biorą dla siebie tylko to, co ludziom przestało być użyteczne.

— Co na przykład? — zapytał pan Piórko, wyprzedzając o parę kroków panią May, ażeby odgarnąć kolące gałęzie głogu i umożliwić jej przejście.

Po chwili spojrzał na panią May, jakby chciał sprawdzić, czy mówi serio, czy też żartuje.

— Och, różne rzeczy! Przede wszystkim okru-chy, resztki żywności, a także drobne przedmioty, przeważnie ludziom już niepotrzebne: puste pudełka od zapalek, ogryzki ołówków, skraweczki materiałów... to wszystko, co im może się przy-

SWBK^

• % — - -••.-•••

j*jI*iA :•-•••.•• ••.

m

dać jako narzędzia, odzież lub żywność. To bardzo smutne, że tylko na tym muszą poprzestawać — tak myśleliśmy oboje z bratem. Tym bardziej że te małe istotki mają zmysł estetyczny, poczucie piękna, lubią, żeby ich „mysie norki” były nie tylko wygodne, ale i ładne — tak samo jak człowiek lubi urządzać swoje mieszkanie. Mój braciszek pomagał im w tym chętnie... — pani May zawahała się przez chwilę, czy mówić dalej — albo też może tylko tak opowiadał — dokończyła niepewnie i dla niepoznaki zaśmiała się, niezbyt szczerze.

— Rozumiem — powtórzył mecenas Piórko, choć prawdę mówiąc, dalej nic z tego nie rozumiał.

Szli wąską ścieżką, jedno za drugim, ażeby nie ocierać się o mokre zarośla, z których kapąły krople wody po niedawnym deszczu.

— A co wspólnego z tym wszystkim ma Tom Poczwiwiec? — zapytał pan Piórko, gdy zatrzymali się na chwilę, aby ominąć sporą kałużę.

— Dawno, bardzo dawno, kiedy mój brat był jeszcze mały, żyli w wielkiej przyjaźni z Tomem, bawili się często razem. Tom był trochę starszy od nas obojga, ale to nie miało żadnego znaczenia. Przestaliśmy się widywać... po tej awanturze — i pani May urwała.

— Po jakiej awanturze? — zainteresował się pan Piórko.

10

Zbliżyli się do leśniczówki i stanęli przed drzwiami.

— Myślałam, że i pan o tym kiedyś słyszał — mówiła dalej pani May. — Nawet policjant był w to wmieszany... Przypomina pan sobie może Ernesta Pałeczkę? To była głośna w całym miasteczku sprawa: kucharka i ogrodnik zwietrzyli obecność tych małych istotek i postanowili je wykurzyć. Sprowadzili miejscowego szczurołapa i postali po Toma, żeby przyniósł z sobą łasiczkę. Tom, wnuk gajowego... — pani May znów przerwała i zapytała: — Ale pan słyszał już chyba o tym kiedyś, nie przypomina pan sobie?

Mecenas Piórko zmarszczył brwi. Zaczęło mu ciekawie świtać w pamięci... jakieś zamierzchłe historie we Wrzosowym Wzgórzu... Kucharka miała na imię... D... Daniela?... Donata?... Nie, Dorota. Jakież rzeczy zginęły z serwantki w salonie...

— Czy to nie chodziło... — zapytał — o zegarek wysadzany szmaragdami?

— Tak. Wtedy właśnie posłano po policję.

— Ale czy — pan Piórko jeszcze mocniej zmarszczył brwi — ta kucharka... Donata czy... Dorota...

— Dorota. Tak właśnie było jej na imię.

— I ten ogrodnik... sądzi pani, że oni naprawdę wierzyli w jakieś tam krasnoludki?

— Najwidoczniej — odparła pani May. — W przeciwnym razie nie byj

itóOO

-Y~»y o • •* ••

— Jak to się skończyło? — dopytywał się pan Piórko. — Złapano ich? Nie, nie — źle się wyraziłem! Chciałem zapytać, czy się wyjaśniło. Co to właściwie było? Myszy?

— Nie było mnie przy tym — odparła pani May wymijająco — nie wiem... „jak to się skończyło”. Ale opowiadał mi brat, że podobno w ostatniej chwili uciekli przez kratę wentylatora, wpuszczoną w mur tuż nad ziemią. Przebiegli pędem przez sad i zniknęli — pani May zakreśliła dłonią krąg w powietrzu — gdzieś na tych polach.

— Widział ich ktoś jeszcze?

— Nie, nikt — odpowiedziała pani May.

Pan Piórko rozejrzał się badawczo: na niknących w półmroku polach ciemniały drzewa — im dalej, tym bardziej czarne — poza tym nic więcej nie było widać.

— Wiewiórki — orzekł mecenas Piórko. — Tak, z pewnością były to wiewiórki.

— Możliwe — zgodziła się pani May.

I zrobiła parę kroków w kierunku zmywalni, w pobliżu której robotnicy tego dnia rankiem wykopali otwór kanalizacyjny.

— Czy aby ten otwór jest wystarczająco szeroki, żeby mogły nim spływać nieczystości? — zaniepokoiła się pani May.

— Szeroki jest wystarczająco — rzekł pan Piórko, patrząc w dół — ale obawiam się, że inspektor sanitarny na to się nie zgodzi: wszy-

12

stkie te ścieki wpadają do rzeczki. Trzeba będzie założyć specjalne urządzenie do filtrowania.

— A więc po co wykopano ten spust?

— Żeby miała gdzie spływać brudna woda ze zmywalni — odparł pan Piórko.

13

●●●●. ●●.●●:●●

Rzucił okiem na zegarek i zapytał:

— Może panią podwieźć? Zrobiło się już dość późno.

— Bardzo panu dziękuję — rzekła pani May podchodząc do drzwi leśniczówki.

Ujmując za klamkę, pan Piórko, mimo woli zainteresowany, powrócił znów do poprzedniego tematu.

— To jednak dziwna historia... — rzekł w zamyśleniu.

— Bardzo dziwna — przyznała pani May.

- Żeby aż po policję posyłać!... Nie do wiary!
- Prawda? — zgodziła się skwapliwie pani ^ay> wycierając nogi o zniszczoną słomiankę przed progiem.

Pan Piórko rzucił okiem na swoje zabłocone obuwie i poszedł za jej przykładem.

- Ten pani braciszek umiał chyba opowiadać nader przekonująco?
- O, tak, umiał.
- I miał bujną fantazję?
- Może i tak. Twierdził, że istniała cała kolonia tych małych ludków. Oprócz 'tej trójki z Wrzosowego Wzgórza byli podobno jeszcze jacyś ich kuzynowie, a ci znów mieszkali w norze borsuka — gdzieś na skraju lasu. Wujek Henryk i ciocia Lucy... — pani May zerknęła z ukosa na mecenasa, żeby sprawdzić, czy on się czasem nie śmieje. — Mieli czworo dzieci...

14

%•• |

- Tak opowiadał pani braciszek? — zauważył pan Piórko, nie bez ironii.
- Nie tylko on, ale i Tom — uzupełniła pani May i znijęszy głos, mówiła dalej: — Stary Tom przysięga, że ta historia jest najzupełniej prawdziwa. Ale, jego zdaniem, tamci wcale nie mieszkali w norze borsuka... a jeśli nawet, to tylko przez krótki czas... Twierdzi z uporem, że ulokowali się za boazerią... obok kominka...

- Obok jakiego kominka? — powtórzył pan Piórko z niedowierzaniem.

Pani May nacisnęła klamkę i gdy drzwi się otworzyły, odpowiedziała szeptem:

- Tu, w tym domku...
- W tym domku?... — jeszcze bardziej zdziwił się mecenas i puściwszy panią May przodem, wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do środka, zanim jeszcze przestąpi próg leśniczówki.

W pierwszej chwili wydawało się, że w pokoju nie ma nikogo, taka panowała tu cisza. Uderzył ich tylko żółtawy blask palącej się lampy i migotanie czerwono żarzących się węgielków w kominku. Pod oknem leżał stos prętów leszczynowych, ostruganych i poprzycinanych równo, przed nim zaś stał drewniany fotel. Nagle z cienia w pobliżu kominka wynurzyła się Kasia.

- Dobry wieczór — rzekła. — Ja...

Miała zamiar powiedzieć coś więcej, ale gdy

15

zauważyła pana Piórko, wyłaniającego się zza pleców pani May, urwała w połowie zdania.

— Co ty tu robisz? — zapytała pani May.

— Oglądałam kominek — odpowiedziała Kasia.

— To widać — stwierdziła pani May. — Całą twarz masz umorusaną sadzami.

— Doprawdy? — zapytała Kasia, nie zdradzając wszakże większego zainteresowania dla swej powierzchowności.

Patrzyła na drzwi, nie odrywając oczu. Jakby czekała, na co pan Piórko się zdecyduje: za-mfnie je i wejdzie do pokoju czy też zamknie za sobą — i wyjdzie.

Pani May spojrzała na pusty fotel i zapytała:

— A gdzież Tom?

— Poszedł nakarmić świnki — odparła Kasia.

I po chwili wahania zapytała niecierpliwie:

— Musimy już iść? Tak bym strasznie chciała coś pani pokazać... to bardzo niedaleko... bli-ziusieńko...

Mecenas Piórko znów rzucił okiem na zegarek.

— W takim razie... — zaczął niezdecydowany.

— Proszę zaczekać na nas przy samochodzie! — przerwała mu szybko pani May. — Skoro Kasia mówi, że to bliutko...

— Chciałem tylko powiedzieć — mówił dalej pan Piórko, stojąc uparcie na progu otwar-

16

tych drzwi — że droga jest wąska, a rowy pełne błota, lepiej więc będzie, jak sam wyprowadzę wóz, wykręcę i poczekam na skrzyżowaniu. Kiedy będę gotów, naciśnę klakson. Proszę uważać na sygnał.

— Dobrze, dobrze — zgodziła się od razu pani May. — Dziękuję panu. Będziemy nasłuchiwały.

Gdy drzwi zamknęły się za panem mecnasem, Kasia chwyciła panią May za rękę i pociągnęła ją spieszenie w stronę kominka.

— A ja mam pani tyle, tyle do opowiedzenia! Masę rzeczy...

— Czy nie zachowałyśmy się zbyt szorstko — zastanawiała się pani May na głos — wobec pana Piórko? Wyglądało na to, że chcemy się go jak najprędzej pozbyć.

— Nie, nie, z pewnością tak nie wyglądało! Podziękowała mu pani tak ładnie. Proszę pani — nalegała Kasia — niech pani popatrzy!

Puściła dłoń pani May i podbiegła do kominka. Ciężko dysząc z wysiłku, odsunęła od ściany duże pudło z nie oheblowanych desek, odsłaniając ostrołukowy otwór wycięty w boazerii, przypominający kształtem drzwi w gotyckim kościele.

Pani May, mimo woli przejęta, nachyliła się nad otworem i powiedziała niepewnie:

— Nie należy być zbyt łatwowiernym, Kasieńko. Nie można wierzyć we wszystko, co

2 — Pożyczalscy na wyspie

17

! —:

•;;••,

nam kto powie. Wiesz przecież, co ludzie opowiadają o starym Tomie...

— Co o nim opowiadają? Wiem. Mówią, że jest on największym kłamczuchem w całej okolicy. Ale takie plotki zaczęły się właśnie z p o - w o d u Pożyczalskich: za dużo o nich gadał. To był jego wielki błąd. Myślał, że ludzie się tym zainteresują. Ale wcale się nie zainteresowali, ani trochę: tylko mu nie uwierzyli.

Kasia uklękła przy kominku i, wpatrzona w ciemny otwór, oddychała szybko, jakby się bardzo zmęczyła.

— Był jeszcze jeden człowiek, który uwierzył w istnienie Pożyczalskich...

— Masz na myśli Dorotę, kucharkę z Wrzosowego Wzgórza?

Kasia skrzywiła się.

— Nie, nie przypuszczam, żeby Dorota naprawdę uwierzyła. Wiem, że ich zobaczyła, ale pewno uważała, że coś jej się tylko przywidziało. Nie, nie ona: jedynym, który uwierzył, był Cygan, Jednooki. Wytrząsnął ich ze swojego buta na podłogę. Widział ich tuż przed swoim nosem — co do tego nie może być wątpliwości. Gonił ich, chciał złapać — tak mi Tom opowiadał — ale uciekli. Miał zamiar wpakować ich do klatki i pokazywać za pieniądze na jarmarku. Tom ich uratował. Przy pomocy Spillera, oczywiście.

— A któż to jest Spiller? — zapytała pani

18

• t

ł » 9

May, nie odrywając oczu od półokrągłego otworu w boazerii, jak urzeczona. Kasia zdziwiła się.

— Nie słyszała pani nigdy o Spillerze?

— Nie słyszałam — przyznała pani May szczerze.

— Ach! — zawołała Kasia, przechylając główkę w tył i przymykając oczy. — Spiller... to чудо!

— Masz pewno rację — rzekła pani May, przysuwając wyplatane krzesło i siadając na nim — ale pamiętaj, że rozmawialiście z Tomem całymi dniami na ten temat, gdy tymczasem ja... jestem od tych spraw trochę, jak by to powiedzieć, daleka. Któż to był ten Spiller? Jeden ^ Pożyczalskich?

— Tak, ale z trochę innego rodzaju... — wyjaśniła Kasia. — Bardziej dziki... Mieszkał w zaroślach... Chodził w starych moleskinowych spodniach... I nie bardzo lubił się myć.

— Przyznasz sama — rzekła pani May — że ten opis nie brzmi zbyt zachęcająco. Do „cuda” daleko.

— Ale on naprawdę zachował się wspaniale: zawiadomił Toma i Tom przybiegł od razu, i wyswobodził całą trójkę. Porwał ich sprzed samego nosa Cygana i wpakował sobie do kieszeni, i przyniósł wszystkich czworo — Spillera, Strączka, Dominikę i Ariettę — tutaj, do leśniczówki. I wyjmował ich z kieszeni ostrożnie, jedno za drugim, i postawił tu — Kasia poklepała dłonią

19

r

\%VAV/*^V

kamienne płyty przed kominkiem — o, właśnie w tym miejscu. A potem oni już sami — biedacy! — przedostali się przez tę dziurę w boazerii za ścianę — Kasia schyliła się, żeby zajrzeć znów w głąb otworu — i wdrapali się po drabinie do mieszkania, które zajmowali ich kuzynowie.

I Kasia, wyciągnąwszy rękę, dotknęła deski obok kominka.

— Mieli mieszkanie jakby na dwóch piętrach, brali ogień z kominka i włączyli się do rurociągu prowadzącego do zmywalni, tak mówił Tom, i mieli wody tyle, ile chcieli. Arietta nie była zadowolona z tego nowego mieszkania: wieczorami schodziła po drabinie na dół i przybiegała do Toma na pogawędkę. Ale i tak oni wszyscy nie mieszkali tu długo. Stało się coś takiego, że musieli... — i Kasia przerwała.

— Mów dalej! — poprosiła pani May.

— Nie, teraz nie ma na to czasu. Jeszcze chwila, a pan Piórko da sygnał klaksonem... A stary Tom tak ładnie opowiada: on chyba wie wszystko, nawet to, co mówili i co robili wtedy, kiedy nikogo przy tym nie było...

— To wielki bazarz ten twój Tom — uśmiechnęła się pani May — i dlatego tak dobrze wie wszystko. A poza tym zna się na ludziach — odgaduje, jak będą reagowali w różnych okolicznościach — zarówno prawdziwi ludzie, jak wymyślone ludki.

20

>...*'

I pochyliwszy się, jak gdyby i ona chciała zajrzeć w głąb otworu, pani May dodała:

— Nawet i mnie nietrudno wyobrazić sobie, co czuła biedna Dominika, bez dachu nad głową, gdy znalazła się, pozbawiona wszystkiego, w takiej ciemnej dziurze. I gdy nagle zetknęła się z tą swoją dawną rodziną, o której tak długo nic nie wiedziała...

•:~»,

v«vav/-;|.%.>•. .. • •

mm/mmmiiuw^

nypj///w?

wwmiumnn}

1

i

h////////mMM/łM;jmsiMitwi\u%\m*\\&

ROZDZIAŁ DRUGI

Tak, pani May miała rację: gdy wszyscy czworo, jedno za drugim, wcisnęli się przez ostro-łukowy otwór w boazerii, w pierwszej chwili poczuli się nieswojo. Było tu ciemno jak w piwnicy, pusto i pachniało kurzem i myszami. Dopiero po chwili stwierdzili z ulgą, że jednak są pod dachem i będą wreszcie bezpieczni.

— Och, moi drodzy... — wymamrotała Dominika z niedowierzaniem — czy to możliwe, żeby oni tu mieszkali?

Ale gdy wzrok jej oswoił się z ciemnością, schyliła się nagle, ażeby podnieść jakiś przedmiot z podłogi.

— Nie do wiary! — zawołała zaskoczona i podsuwając Strączkowi pod nos ów bielejący w ciemności przedmiot, zapytała: — Wiesz, co to jest?

— Wiem — odparł Strączek. — Piórko do czyszczenia fajki. Rzuć to, Dominiko, i chodź. Spiller czeka.

— Mylisz się — odparła Dominika. — To

22

• .V

słomkowy dziobek od naszego starego czajnika. Pamiętasz nasz czajnik do herbaty, zrobiony z żołądździ? Poznałabym go zawsze i wszędzie, i proszę cię, nie sprzeczasz się ze mną — upierała się Dominika, chociaż Strączek wcale nie miał zamiaru się sprzeczać. — A więc są tu jednak... — mówiła do siebie, idąc posłusznie o krok za Strączkiem — i nie wiem, jakim sposobem, ale jednak mają nasze rzeczy.

— Idziemy na górę! — zawołał Spiller.

Stał wsparty jedną dłonią o drabinę. Dominika zadarta głowę i ujrzała szczeble, idące w górę i znikające wyżej, w półmroku. Przeszył ją dreszcz. Drabinka zrobiona była z rozszczepionych patyczków, pomiędzy którymi starannie poprzyklejano poprzeczki z zapalek — podobne drabinki ustawia się w kwaciarniach dla podtrzymywania wątłych roślinek w doniczkach.

— Ja pójdę pierwszy — oświadczył Strączek. — Wchodźmy po kolei, każde oddzielnie.

Dominika czekała z biciem serca, aż usłyszała wreszcie głos Strączka.

— Wszystko w porządku — zawołał, prawie niewidoczny na ostatnim szczeblu drabinki. — Chodźcie!

Dominika zaczęła pięć się w górę, choć kolana jej drżały ze strachu — aż w końcu znalazła się na słabo oświetlonym pomoście, który zaskrzypiał, gdy na nim stanęła, i nawet jakby się tro-

23

chę zakołysał. Pod nią ziała pustka i ciemność, przed nią znajdowały się otwarte drzwi.

— Och, moi drodzy... — jęknęła. — Nie patrz w dół! — przestrzegła Ariettę, która wspinała się tuż za nią.

Lecz Arietta nie miała wcale ochoty patrzeć w dół — przeciwnie, uwagę jej przykuwały otwarte drzwi i ruchome cienie w głębi. Usłyszała przytłumiony gwar głosów i nagłe wybuchy piskliwego śmiechu.

— Idź naprzód! — zakomenderował Spiller, popychając ją lekko w kierunku drzwi.

Widok, jaki się przed Ariettą roztoczył, wydał jej się oszałamiający: ciepły, czysty pokój, migotliwy blask świecy, rozkoszny zapach ciepłego, gotowanego w domu jadła... i tyle głosów... i tyle osób...

Jak przez mgłę widziała twarze i stopniowo zaczęła je rozróżniać... Ta, która obejmuje i całuje jej matkę, to pewno ciotka Lucy... Taka okrągła, pulchna, czyściutka... Dopiero teraz widać, jaka jej matka jest wychudzona i zaniedbana! Dlaczego padają sobie w objęcia i ściskają się za ręce, i obie płaczą? Przecież nie lubiły się nigdy, wszyscy o tym wiedzą. Dominika uważała zawsze ciotkę Lucy za osobę pyszałkową i zadzierającą nosa, ponieważ Lucy mieszkała dawniej za boazerią w salonie i podobno — takie chodziły

śluchy — przebierała się do kolacji w wieczorową suknię. A Lucy odnosiła się z po-

24

gardą do Dominiki, ponieważ tamta mieszkała pod podłogą kuchni i nie umiała wymawiać z francuska „parkę”, tylko mówiła jak prostaczka: „parkiet”.

A oto wuj Henryk mówi do Strączka, że to niemożliwe, żeby to była Arietta, taka duża dziewczyna, a ojciec jej śmieje się i opowiada z dumą, że to jednak nikt inny, tylko Arietta. A ci trzej chłopcy to pewno jej kuzynowie, imion ich nie znała — duży, mniejszy i najmniejszy, a wszyscy tacy podobni do siebie jak ziarnka grochu różnej wielkości w tym samym strąku. A ta wysoka, cienka w pasie, powiewna jak postać z bajki, kryjąca się nieśmiało na uboczu... któż to może być?

- Dominika krzyknęła, gdy ją zobaczyła, i zaraz plasnęła się dłonią po ustach.

— Eggletina! Nie! To niemożliwe!

A jednak była to ona. Arietta wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma i nie wierzyła własnym uszom. Czyżby to miała być ta legendarna kuzynka Eggletina, która podobno pewnego pięknego dnia wyszła w niebieskiej sukience i w buciczkach zapinanych na agatowe paciorki — i od tej chwili nikt jej nie widział? Rzekomo kot ją pożarł. Tyle razy ostrzegano Ariettę przed podobnym losem! A oto ona, żywa i cała... o ile to wszystko nie jest snem!...

A może to właśnie sen?

Wszystko wydawało się Ariecie nierzeczywi-

25

• •,

ste w tym pokoju na pięterku, wypełnionym mebelkami z domu dla lalek, z których każdy był innych rozmiarów i w innym stylu i ani jeden nie pasował do drugiego.

Stały tu foteliki z obiciem z rypsu lub z aksamitu, jedne za małe, inne znów za szerokie i za przepaściste, a żaden nie nadawał się do użytku. Była tu bieliźniarka, za wąska i za wysoka, żeby można było mieć z niej jakiś pożytek, i stoliczki za niskie, żeby przy nich siedzieć. Był miniaturowy kominek z węgielkami z kolorowego gipsu i pogrzebacz, szczypce i szufelka do węgla, ale co komu po tym? Dwa ślepe okna na ścianie, z futrynami w esy-floresy, przesłonięte były firankami z czerwonego jedwabiu, na którym widniały ręcznie malowane pejzaże: jeden przedstawiał Alpy Szwajcarskie, drugi zaś — dolinę w Szkocji.

— To Eggletina malowała sama, własnoręcznie — chełpiła się ciocia Lucy takim tonem, jakby prowadziła wytworną salonową konwersację. — A teraz zabrała się do mniejszego -pejzażu, także na jedwabiu. Będzie to widok na jezioro Como...

Wszędzie stały lampy i wisały kinkiety pod osłoną abażurów z falbankami, z frędzelkami, w drobne pliski — ale mimo tej obfitości lamp pokój był oświetlony, jak to Arietta od razu zauważyła, skromną, małą łójóweczką, taką, jaką stawiano w mieszkaniu pod kuchnią we Wrzosowym Wzgórzu.

26

—: ••

Wszystko tu jednakże lśniło czystością, aż onieśmielającą. Arietta rzuciła spod oka spojrzenie na ojca i na matkę i zrobiło jej się za nich wstyd: to, co mieli na sobie, nie było prane od wielu tygodni, a twarzy i rąk nie myli chyba od paru dni. Na spodniach Strączka na samym kolanie świeciła duża plama, włosy Dominiki zwisały w nieporządnym kosmykach, a tu, jakby dla kontrastu z nimi, ciocia Lucy, pulchna, okrągłutka, wychuchana, rozszczebiotana, wyglądała jak światowa dama, która za chwilę narzuci na siebie czarny jedwabny płaszcz wieczorowy, włoży na szyję boa ze strusich piór, wciągnie białe rękawiczki z mięciutkiej glansowanej skórki, wsiądzie do karety i każe się zawieźć na galowe przedstawienie do opery.

Ale Dominika, ona, która zawsze się bała, żeby niespodziany gość nie przyłapał jej w przybrudzonej fartuszkach, teraz jakoś wcale nie straciła kontenansu. Postanowiła odegrać rolę — co Arietta i Strączek zauważyli nie bez satysfakcji — osoby, którą „los doświadczył ponad miarę wytrzymałości”, męczennicy, która wiele przecierpiała, ale „woli o tym nie mówić”, gdyż za wszelką cenę chce być dzielna. Uśmiechała się blado, a uśmiech jej zdawał się mówić z wyższością: „Co wy tam wiecie...”

— Biedna Lucy — rzekła z politowaniem, rozglądając się dokoła — ile tu różnych gratów! Kto ci pomaga sprzątać, zamiatać, ścierać kurze?

27

r

I tak gwałtownie potrząsnęła głową, że jej źle. upięte włosy nagle się rozsypały i, jak ścięta z nóg, padła zemdlona na fotel.

Wszyscy, wystraszeni, przybiegli na pomoc, spryskali wodą jej twarz i ręce. Henryk patrzył na nią oczyma pełnymi łez, z braterską miłością i współczuciem.

— Moje ty dzielne biedactwo — mówił, na pół do niej, na pół do siebie — w głowie mi się mąci, gdy pomyślę, ile ona przeszła...

Wkrótce Dominika wróciła do przytomności i poszła umyć się i uczesać. Wuj Henryk otarł oczy i wszyscy razem zasiedli do kolacji w kuchni, która tym się różniła od pokoju, że ogień płonął tu naprawdę pod blachą kuchenną, sporządzoną z ułożonego płasko dużego, czarnego zamka od drzwi. Węgielki pod blachą rozgarniano pogrzebaczem poprzez dziurkę od klucza, a dym uchodził przez szereg przemysłowych rurek do dużego komina na dachu.

Długi stół stanowiła miniaturowa płytki, niegdyś zabezpieczająca przed dotykiem palców drzwi w jakimś

starym salonie z osiemnastego wieku, ozdobna, biało emaliowana, ze wzorkiem w niezapominajki. Tam gdzie niegdyś tkwiły cztery śrubki, teraz sterczały ogryzki ołówków zastępujące nogi stołu. Zaostrzone koniuszki wystawały ponad powierzchnię płytki. Jeden ołówek był kopiowy i raz po raz przypomniano dzieciom,

28

••

żeby się o niego nie opierały, gdyż mogą pobrudzić palce na fioletowo.

Stół był obficie zastawiony zarówno prawdziwymi daniami, jak ich imitacją: ciastka, budynie, soki w butelkach, wszystko to było sporządzone własnymi rękami Lucy, ale już udziec barani i kaczka pieczone były „na niby”, zrobione z gipsu i „pożyczone” z domu dla lalek. Na stole stały prawdziwe kubki z przepołowionych skorupek żółędzi i dwie malutkie zielone karafeczki szklane.

A przy stole trwały rozmowy, rozmowy, rozmowy... Arietta słuchała na pół przez sen. Była tak zmęczona, że raz po raz zapadała w drzemkę. § — A gdzie Spiller? — zapytała, gdy się nagle ocknęła.

— Och, poszedł gdzieś sobie — odpowiedział wuj Henryk wymijająco.

Zmarszczył przy tym brwi i skrzywił się najwyraźniej zakłopotany, bawił się i stukał w stół ołowianą łyżeczką.

„Jedna z mojego pół tuzina — uprzytomniła sobie Dominika zirytowana. — Ciekawa jestem, ile ich jeszcze mają?”

— Poszedł? — powtórzyła Arietta sennym głosem. — Ale dokąd?

— Chyba do domu —! odrzekł Henryk bez większego przekonania.

— A myśmy mu nawet nie podziękowali! —

29

!.%•••••

rozgorączkowała się Arietta. — Spiller ocalił nam życie!

— Mam znakomity kordiał — zawołał wuj Henryk; miał widocznie dość tego tematu. — Nalewka porzeczkowa, Lucy sama robiła. Napijemy się? — zwrócił się do Strączka. — Nic tak nie podnosi na duchu, jak domowa nalewka — zażartował.

— Nie, dziękujemy — zawołała Dominika, zanim Strączek zdążył się odezwać. — „Od wódki rozum krótki!” Doświadczylśmy tego na własnej skórze!

— Ale co Spiller o nas pomyśli? — ze łzami w oczach pytała Arietta. — Nie podziękowaliśmy mu nawet!

Henryk spojrział na nią zdziwiony.

— Spiller? — powtórzył i poklepał dziewczynkę po ramieniu. — Jemu nie zależy na podziękowaniach.

— A dlaczego nie został z nami na kolacji? „

— Nie lubi dużego towarzystwa — wyjaśnił Henryk. — Woli sam dla siebie pitrasić.

— Pitrasić? — powtórzyła Arietta jak echo.

— No, gotować — poprawił się Henryk.

— A gdzie on teraz mieszka?

— Tam gdzie dawniej. W swoim piecyku.

— Ale to przecież bardzo daleko! Będzie z parę mil!

— Spillera to nie przeraża. Jest przyzwyczajony. Przeprowadzi się łodzią przez wodę...

30

••

~fZ?s **••%*

— Ale już jest ciemno — wciąż niepokoiła się Arietta.

— O Spillera możesz się nie martwić — uspokajał ją wuj Henryk. — On sobie poradzi. Zjedz ciasteczko, moja droga.

Arietta spojrzała na talerzyk (z różowego celuloidu, był u nich w domu cały taki serwis do herbaty, przypomniała sobie), ale jakoś nie miała apetytu na ciastko.

— A kiedy on wróci? — pytała.

— Nie wiadomo — odpowiedział wuj Henryk. — Zjawia się raz czy dwa razy do roku. Lucy szyje dla niego. Albo czasem Tom przysyła go z jakimś poleceniem.

§ Arietta zamyśliła się.

— Czuje się na pewno bardzo samotny — rzekła po chwili i westchnęła.

— Spiller? Samotny? Nie, tego bym o nim nie powiedział. Samotny jest ten, kto czuje się opuszczony. Spiller jest raczej samotnikiem z wyboru.

Henryk powiódł wzrokiem po pokoju i zatrzymał się przy kominku, przy którym siedziała, odwrócona plecami, jego córka.

— Eggletina jest taka sama... I nic na to poradzić nie można. Wielka szkoda! — westchnął.

Bardzo ciemno tu było, w tym dziwnym nowym domu, prawie tak samo ciemno, jak kiedyś pod podłogą w „Stokrotce” we Wrzosowym Wzgórzu. Jedyne oświetlenie dawały ogarki świec, wbite na ustawione sztorcem pinezki.

31

„Ileż to mieszkań Ludzi spaliło się — uświadomiła sobie nagle Arietta — na skutek nieuwagi Pożyczalskich, którzy zapraszali ogień od palących się świeczek!”

Chociaż ciotka Lucy tak dbała o czystość, wszędzie pachniało tu sadzami, a co gorsza, chwilami uderzał ostry, natrętny odór jakby sera szwajcarskiego.

Kuzynkowie spali wszyscy trzej w kuchni — bo tam jest najcieplej, jak wyjaśniła ciotka Lucy.

Elegancki salon przeważnie stał bez użytku. Wchodziło się do niego z płóciennego pomostu, do którego prowadziła niebezpiecznie wysoka drabina ze szczeblami z zapalek.

Wyżej, ponad tym pomostem, znajdowały się dwie małe izdebki, które ciotka Lucy przydzieliła im na mieszkanie. Drogi do nich trzeba było szukać po omacku, przeskakując z deseczki na deseczkę, ażeby wylądować w końcu na szorstkiej tekturowej podłodze, którą sporządził wuj Henryk z pudełka od butów.

— Urządźcie te dwa pokoiki tak, żeby było w nich przytulnie — powiedziała ciotka Lucy (wiedziała dobrze, że Strączek ma, jak to się mówi, złote ręce) — a na początek pożyczmy wam trochę mebli.

— „Na początek pożyczmy wam...” — mruczała pod nosem Dominika, czołgając się na

32

!pr

czworakach w ślad za Strączkiem (w przeciwieństwie do innych Pożyczalskich nie lubiła ani wspinać się, ani też przeskakiwać). — A co potem mamy robić?

Nie miała odwagi spojrzeć w dół. Wiedziała, że pod nią jest chwiejący się pomost, a jeszcze niżej stoi drabina, bielejąca w głębi jak szkielet z rybich ości.

— Jednakże — pocieszała się sama, wymacując ostrożnie zagłębienia w deskach, żeby znaleźć oparcie dla stóp — stromo tu, bo stromo, ale bądź co bądź mamy osobne wejście i... Jak tam jest, Strączku? — zapytała, gdy głowa jej ukazała się tuż nad podłogą, dziwacznie oddzielona, jak od-częta od tułowia.

— Bardzo sucho — odparł Strączek, nie zdradzając ochoty do wdawania się w dłuższą rozmowę.

I tupnął nogą w podłogę, jak gdyby chciał wypróbować jej wytrzymałość.

— Nie tupaj tak, Strączku! — przestrzegła go Dominika, prostując się i próbując stanąć i utrzymać równowagę na chwiejącej się pod nogami powierzchni. — To przecież tylko tektura.

— Wiem — odburknął Strączek, a gdy Dominika wyprostowała się i stanęła przed nim, dodał strofująco: — Nie musisz tak ciągle gderać, moja kochana!

— Dawniej, w tamtym mieszkaniu pod kuch-

3 • — Póżyczalscy na wyspie

33

nią — mówiła dalej Dominika nie zrażona — była przynajmniej solidna podłoga...

— Ale potem mieszkaliśmy w bucie — przypomniał jej Strączek — i omal nie umarliśmy z głodu. I z zimna. I omal nie złapał nas Cygan. Nie trzeba narzekać — upomniał ją, ale teraz już znacznie łagodniej.

Dominika rozejrzała się dookoła. I to mają być „dwa pokoje”? Arkusz tektury, rozpięty między trzema deskami i ścianą kominka, przedzielony był płócienną okładką ustawioną pionowo, na której widniał napis wytłoczony spłó-wiałymi literami: „Hodowla nierogaczyny. Rocznik 1896”.

W tej ścianie, koloru bordo, wycięty był otwór na drzwi. Sufitu nie było w ogóle i światło padało skądś z góry — ze szpary, jak domyślała się Dominika, pomiędzy podłogą a bieloną ścianą w mieszkaniu gajowego.

— Kto sypia w tym pokoju nad nami? — ^zapytała. — Ojciec tego chłopca?

— Nie, dziadek — odparł Strączek.

— Wcale się nie zdziwię, jeśli i on zacznie nas tropić — rzekła Dominika. — Zastawi na nas pułapkę albo sidła, albo czy ja wiem co jeszcze...

— Możesz się nie bać — uspokoił ją Strączek — zwłaszcza gajowego. Przebywa cały dzień poza domem, a chłopca zabiera z sobą. Tak, tu jest sucho — stwierdził, rozglądając się raz jeszcze dookoła. — I ciepło.

34

ke»

R

W i

f

'c^\

js+~**/Z*«ls?i^

C^t

— Nie za bardzo — zaproponowała Dominika.

Ledwo stanęła na progu, od razu spostrzegła, że drzwi umocowane są za pomocą plecionki, jakiej używa się przy oprawie książek, a nie odcięty jej kawałek brzydko zwisa.

35

— Zaraz zacznie się strzępić — zauważyła, wprawiając raz po raz skrzydło drzwi w ruch. — I co wtedy zrobimy?

— Będę mógł zaobrócić — rzekł Strączek. — Mam przecież szydło i dratwę. Nic trudnego.

Pomacał dłonią przeciwległą ścianę, złożoną z samych dużych kamieni.

— Obudowa kominka — wyjaśnił fachowo. — Ciepło, co?

— Hm, tak — zgodziła się Dominika. — O ile oprzeć się plecami.

— Co byś powiedziała, żebyśmy tu urządzili sypialnię? Tu będzie najcieplej.

— W jaki sposób? — zainteresowała się Dominika.

— Dadzą nam chyba łóżka...

— Nie, lepiej zrobić tu kuchnię — orzekła Dominika.

Przesunęła obydwiema rękoma po kamieniach i zaczęła wydłubywać tynk z pionowej szczeliny.

— Tędy będzie można przeprowadzić rurę do głównego przewodu w kominie.

— Ale przecież będziemy jadali na dole razem z wszystkimi — wyjaśnił Strączek. — Nie możemy się inaczej urządzić — będziemy prowadzili wspólną kuchnię.

— Wspólna kuchnia i wspólne „pożyczanie” — zauważyła z przekąsem Dominika. — Zobaczysz, oni nie zgodzą się, żebyś chodził z nimi na „pożyczanie”.

3fi

tivo::t;o_____»y^r*»..«»»«»«r.«» •

— Głupstwa mówisz — zirytował się Strączek. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Zaraz ci wyjaśnię — odpowiedziała Dominika. — W takim domku jak ten, w którym mieszkają tylko dwie osoby, gajowy i chłopiec, nie można zdobyć tyle jedzenia, co w „Stokrotce”. Zapamiętaj sobie moje słowa: rozmawiałam już na ten temat z Lucy. Henryk i dwaj starsi chłopcy doskonale sobie radzą i żaden z nich nie będzie chciał konkurencji.

— W takim razie... co ja będę robił? — zasta-mowił się Strączek.

Pożyczalski pozbawiony możliwości „pożycza-aia” — i to jeszcze Pożyczalski na poziomie Strączka?! Oczywiście zaokrągliły mu się z przerażenia.

— Musimy postarać się o meble.

— Ale przecież oni mają nam pożyczyć...

— Pożyczyć?! — syknęła drwiąco Dominika. — Wszystko, co posiadają, przecież było nasze!

— Ależ, Dominiko... — zaczął Strączek. Dominika zniżyła głos do ledwie dosłyszalnego szeptu:

— Wszystko, każda rzecz z osobna, wszystko jest nasze. I ten fotel z czerwonym aksamitnym obiciem, i ten kredensik z malowanymi talerzami, i w ogóle wszystko, co Chłopiec przyniósł dla nas z domu dla lalek...

— Zamek z dziurką od klucza nie był nasz —

37

wtrącił Strączek — ani stół zrobiony z płytki na drzwi. Ani też...

— Ale ten udziec barani — przerwała mu z kolei Dominika — był nasz i półmisek z imitacją ciasteczek. I łóżka były nasze, i kanapa. I palma w donicze...

— Posłuchaj, Dominiko — poprosił błagalnie Strączek — pamiętaj, w jakiej jesteśmy sytuacji. Myśleli, że znaleźli te rzeczy. Myśleli, że my już nie żyjemy, tak jakbyśmy utonęli w morzu. Rzeczy te znaleźli w białej powłoczce i mogli uważać je za niczyje. Albo za pozostawione przez nas w testamencie.

— Nie zostawiłabym niczego Lucy! — zawołała Dominika porywczo.

— Ale musisz przyznać, Dominiko, że przyjęli nas bardzo gościnnie.

— Tak — zgodziła się Dominika — to prawda: przyjęli nas bardzo gościnnie.

Rozejrzała się dookoła. Podłoga z tektury była cała usiana kawałkami tynku, które wykruszyły się z obudowy kominka. W zamyśleniu zaczęła zmiatać te okruchy w kierunku szczeliny pomiędzy podłogą a murem. Pospadały, jakby przez niewidzialny szyb, do kuchni Lucy i Henryka.

— Ostrożnie! — zawołał Strączek. — Nie wolno robić hałasu, tu chodzi o nasze życie! Ludzie — wiesz sama — bardzo zważają na wszelkie szmery i chroboty. Zaraz pomyślą, że to szczury lub myszy. Trzeba się bardzo pilnować!

38

— Przepraszam — wymamrotała Dominika.

— Poczekaj chwilę! — zawołał nagle Strączek.

Popatrzył na szparę, przez którą przenikało światło, i błyskawicznie wdrapał się po ścianie na górę.

— Ostrożnie, Strączku! — wyszeptała Dominika.

A Strączek sięgał już po jakiś przedmiot, ukryty przed oczyma Dominiki przez jego własny cień. Słyszała tylko, jak sapał z wysiłku.

— Wszystko w porządku — oznajmił Strączek, zeskakując z powrotem. — Nie ma tam nikogo. Masz!

Wylądował na podłodze i podał jej starą, kościaną szczoteczkę do zębów, nieco większą od niego.

— Pierwsza zdobycz — oznajmił skromnie, a Dominika zauważyła, że był bardzo zadowolony. — Ktoś musiał zgubić ją tam w pokoju i utknęła w szczelinie pomiędzy podłogą a ścianą. Tą drogą będziemy mogli chodzić na „pożycza-nie” — ciągnął dalej. — U samego wylotu szpara jest nawet troszkę szersza... Masz i to jeszcze — i podał jej zgrabną muszelkę. — Zrobisz z niej śmietniczkę, a ja spróbuję skoczyć na górę, skoro tam nikogo nie ma...

— Ostrożnie, Strączku, błagam cię! — prosiła Dominika, z mieszaniną lęku i dumy w głosie.

Patrzyła, jak Strączek zwinie wdrapuje się

39

na górę, i dopiero gdy znikł jej z oczu, zabrała się na dobre do zamykania podłogi.

Gdy Arietta przyszła zawołać ich na obiad, ujrzała na podłodze cały stos rozmaitych rzeczy: miseczkę porcelanową od mydła, czerwono-żółtą rogózkę do podkładania pod talerze (będzie z niej dywanik!), skraweczek zielonego, szaro żyłkowanego mydła, dużą igłę do cerowania (mocno zardzewiałą), trzy tabletki aspiryny, paczuszkę piórek do czyszczenia fajki i spory zwitek smołowanego sznurka.

— Czuję teraz, że jestem głodny — rzekł Strączek.

» & s

mwm

'-sMtjMwuwjffm^miMw^^"™

ROZDZIAŁ TRZMCI

Zeszli wszyscy troje na dół i idąc ostrożnie środkiem pomostu, którego brzegi nie były zabezpieczone żadną poręczą ani balustradą, znaleźli się w mieszkaniu Henryka i Lucy. Cała rodzina zebrała się w kuchni.

— Ach, jesteście! — zawołała ciotka Lucy, fiż zbyt głośno, tonem przesadnej uprzejmości. — Siadajcie do stołu!

Zaczerwieniona od ognia buzującego pod paleniskiem i ubrana w sukienkę z pąsowego jedwabiu, wyglądała jak mak w rozkwicie. W porównaniu z nią Dominika, wychudzona i kanciasta, przypominała stracha na wróble.

Stół z emaliowanej płytki oświeślała jedna jedyna lampa, zrobiona ze srebrnej solniczki z dziurkowaną pokrywką; w jednym z otwor-ków sterczał knot. Płomień świecił równo w tym pomieszczeniu bez żadnego przewiewu, a powierzchnia płytki lśniła w jego blasku zimną, lodowątą bielą.

Egglestina stała odwrócona i rozlewała zupę do

41

miseczek, a Tymoteusz, jej najmłodszy braciszek, roznosił je i podawał siedzącym przy stole. Miseczki były bardzo ładne, zrobione z żółtych, polerowanych muszelek. Dwaj starsi chłopcy, ledwo stanęły przed nimi miseczki, rażno zabrali się do jedzenia.

— Wstańcie, wstańcie, chłopcy! — zawołała Lucy. — Przywitajcie się z ciocią!

Chłopcy podnieśli się dość niechętnie, ukłonili się Dominice i zaraz usiedli z powrotem.

„Dobre maniery Klawesyńskich...” — zdawały się wyrażać ich pogardliwe miny.

Co prawda, chłopcy byli zbyt młodzi, ażeby mogli pamiętać piękne czasy w salonie „Stokrotki”; okruchy pysznego ciasta pod stołem, resztki madery w kieliszkach, osłodzona herbata na dnie filiżanek i taka przyjemna muzyczka z tabakierki z pozytywką. Obaj byli małowówni i nawet jakby trochę opryskliwi, ale może tylko wskutek ukrywanej nieśmiałości. „Albo nie bardzo nas lubią” — pomyślała Arietta, siadając obok nich do stołu. Mały Tymuś podał jej miseczkę z zupą. Cienka muszelka była tak gorąca, że Arietta prawie nie mogła utrzymać jej w rękach.

Jedzenie było niewyszukane, ale na pewno zdrowe: zupa z groszku i fasolka szparagowa z wody, po jednej fasolce dla każdego. Teraz już Lucy nie okazała się tak gościnna, jak pierwszego wieczora, kiedy hojnie wyłożyła wszystkie zapasy z kredensu. Wyglądało na to, że Lu-

42

cy i Henryk omówili tę rzecz między sobą i postanowili odtąd prowadzić skromniejsze gospodarstwo. Ariecie zdawało się, że słyży stanowczy głos ciotki Lucy: „Musimy zacząć już od dziś — żadnych wybryków, dom musi być prowadzony oszczędnie!”

Jednakże dla Henryka i dwóch starszych chłopców znalazło się coś lepszego: omlet ze szparagami. Lucy smażyła go na patelni z blaszanej pokrywki od słoika i pilnowała, żeby się nie przypalił. Przyprawiony tymiankiem i goździkami pachniał pięknie i skwierczał smakowicie na patelni.

— Jajko „pożyczyliśmy”, rozumiesz — wyjaśniała skwapliwie Dominice. — Oni wychodzą ranem i czasem przez cały dzień nie wracają. Ale trzeba złapać odpowiednią chwilę. Pewnego razu Henryk musiał trzy dni z zędu czatować w drewni, zanim udało mu się natrafić na właściwy moment.

Dominika zerknęła z ukosa na Strączka: przestał jeść, a oczy dziwnie mu się zaokrągliły.

— Strączek także spróbował, dziś rano — rzuciła Dominika jakby od niechcenia. — Był nie tyle daleko, ile wysoko. Ale widocznie ta wyprawa nie dodała mu apetytu — zażartowała.

— Spróbował — zapytał wuj Henryk ze zdumieniem — „pożyczyć”? Na własną rękę?

Jego spiczasta bródka, unosząca się w górę

43

i w dół w trakcie jedzenia, na chwilę znieruchomiła.

— Jakieś drobiazgi — odparł Strączek skromnie. — Jeden czy dwa...

— Skąd? — zapytał Henryk, wpatrując się w niego badawczo.

— Z sypialni tego starego... Mieści się akurat nad naszym pokojem.

Henryk milczał dłuższą chwilę, zanim powiedział:

— No to w porządku, mój Strączku.

Ale po jego tonie można było poznać, że to bynajmniej nie jest w porządku.

— Jednakże... wolnego, mój drogi! W tym domu nie znajdzie się tak dużo rzeczy, żeby można było drzwiami i oknami...

Nie dokończył, wpakował sobie do ust spory kęs omletu i żuł go powoli, Arietta zaś, jak zaczarowana, nie mogła oderwać oczu od jego ruszającej się bródki i od cienia, jaki rzucała ta bródka na ścianę. Gdy przełknął wreszcie, znów zaczął mówić:

— Bylibyśmy ci bardzo wdzięczni, Strączku, gdybyś zaniechał „pożyczania”... na razie. My znamy tutejszy teren i pracujemy, jeśli tak można powiedzieć, według własnych metod. Tymczasem możesz brać od nas wszystko, co wam jest potrzebne. A żywności starczy dla wszystkich — o ile nie uważacie, że wikt jest za skromny.

44

k i '.<

Po tych jego słowach zapanowało długie milczenie. Dwaj starsi chłopcy, jak to Arietta zauważyła, siedzieli przy stole ze spuszczoneymi oczyma. Lucy krzątała się koło kuchni. Eggle-tina splotła dłonie na kolanach i utkwiała rozmarzony wzrok gdzieś w dali, a mały Tymuś wodził oczyma dookoła i spoglądał ze zdziwieniem to na matkę, to na siostrę.

— Będzie tak, jak sobie życzysz — rzekł Strączek chłodno, a Lucy, chcąc przerwać niezręczne milczenie, zwróciła się do Dominiki, od razu zalewając ją potokiem słów:

— Moja kochana, jeśli masz po obiedzie chwilę czasu, bardzo byłabym ci wdzięczna, gdybyś zechciała mi pomóc. Muszę załatać odzież Spil-4era...

Dominika przypomniała sobie dwa nie urządzone, nieprzytulne pokoiki na górze, wiedziała, ile roboty czeka ją jeszcze, zanim doprowadzi je do jakiegoś możliwego stanu, odpowiedziała jednakże bez zastanowienia, nawet siląc się na uśmiech:

— Ależ, oczywiście, z chęcią.

— Zwykle kończę tę robotę wczesną wiosną — mówiła dalej Lucy — a czas leci: już marzec, jutro pierwszy.

I zabrała się do sprzątania ze stołu. Naturalnie, wszyscy skoczyli, żeby jej pomóc.

— A gdzie jest Spiller? — zapytała Dominika, zbierając ze stołu miseczki.

45

— Nie wiadomo — rzekła Lucy. — Pewno teraz poluje na dzikie gęsi. Gdzie on się podzie-wa, tego nikt nie wie. Ani tego, co on robi. Wiem tylko jedno — mówiła dalej, wyjmując jednocześnie zatyczkę z rury (w domu robiliśmy tak samo, przypomniała sobie Arietta), ażeby puścić strugę wody — co roku w jesieni reperuję jego zimowe ubranie, a na wiosnę łatam mole-skinowe spodnie i bluzę z białej giemzowej skórki. Zgłasza się sam po jedno i drugie.

— Pięknie, że ciocia zajmuje się jego garderobą — odezwała się Arietta, patrząc, jak ciotka Lucy opłukuje muszelki w malutkiej miednicz-ce.

— To tylko ludzkie — zauważyła Lucy z udawaną skromnością.

— Ludzkie? — wykrzyknęła Dominika, zaskoczona użyciem takiego właśnie określenia.

— Ludzkie — to znaczy po prostu, no... szlachetne — wyjaśniła Lucy.

Przypomniała sobie, że Dominika — biedaczka! — nie ma żadnej edukacji, latami całymi mieszkała — wstyd powiedzieć — pod podłogą kuchni!

— Nie ma to nic wspólnego z Ludźmi — dodała po chwili. — Bo i jakże mogłoby mieć?

— Właśnie dlatego zdziwiłam się... — zaczęła Dominika.

— A poza tym — nie pozwoliła jej dokoń-

46

czyć Lucy — Spiller przynosi nam różne rzeczy. Na wymianę.

— Aha, rozumiem — bąknęła Dominika.

— Chodzi na polowanie, rozumiesz, a mięso przynosi do mnie, żebym je uwędziła — tu w kominie. Część mięsa zostawia nam, a część zabiera dla siebie. Z tego, co zostanie, robię pasztet — znakomity, powiadam ci, nie psuje się całymi miesiącami. Czasem przynosi różne inne rzeczy: jaja ptasie, jagody, orzechy... i rybki, jeśli uda mu się złowić w rzece. Rybki także wędzę albo marynuję. Niektóre po prostu solę. Jeżeli będziesz miała ochotę na coś specjalnego, wystarczy powiedzieć Spillerowi — trzeba, oczywiście, zostawić mu na to trochę czasu — a on „pożyczy”

łód od Cyganów i przyniesie. Ten stary piecyk, w którym mieszka, stoi w pobliżu ich wozu. Mamy cały rękaw od płaszcza deszczowego, nieprzemakalnego, Spiller nam przyniósł — bardzo nam się przydał tego lata, kiedy pszczoły nas zaatakowały... wpędziliśmy je wszystkie do rękawa.

— Pszczoły? — zainteresowała się Dominika.

— Nie opowiadałam ci o pszczołach, co to zagnieździły <się w pniu drzewa blisko leśniczówki? Teraz już ich nie ma. Ale kiedy były, mieliśmy miodu w bród i dobry, lepki wosk na świece...

Dominika zamilkła na chwilę — zaniemówiła z zazdrości, olśniona dostatkiem Lucy. Wycierając ostatnią miseczkę do sucha zapytała:

47

— A gdzie to wszystko postawić, Lucy?

— W koszyczku wiklinowym, tym co stoi w rogu, moja droga. Nie potłuką się — trzeba je tylko postawić równiutko, jedną na drugiej... Pokażę ci — o, tak!

— Muszę ci powiedzieć, Lucy — rzekła Dominika, widząc, jak Lucy zręcznie i szybko ustawia wysoki stosik muszelek w koszyczku z pałką do zawieszania, przewiązanym u góry wyblakłą niebieską wstążeczką — że zrobiła się z ciebie naprawdę dobra gospodyni.

— Tym dziwniejsze — roześmiała się Lucy — że wychowywałam się w salonie i nigdy sobie niczym rąk nie ubrudziłam.

— No, nie bardzo wychowywałaś się w salonie — sprostowała Dominika.

— Och, nie pamiętam dobrze tych czasów, kiedy byłam panną — rzuciła Lucy wesoło. — Wysłałam za mąż tak młodo...

I nagle zwróciła się do Arietty:

- No, a o czym ty tak myślisz, panno gu-zdralska?
- Myślałam — odparła Arietta cicho — o Spillerze.
- Aha! — zawołała ciotka Lucy. — Panna guzdralska nic nie robi, tylko marzy sobie o Spillerze!

I roześmiała się głośno.

- Szkoda czasu i atlasu, moja droga, na rozmyślania o Spilleire! Toż ta obdartus i niechluj!

48

Masz jeszcze czas na to, żeby myśleć o chłopcach — a jak podrośniesz, na pewno spotkasz na swojej drodze jakiegoś naprawdę wartościowego chłopca z naszego rodu. Może takiego, co wychowywał się w bibliotece: ci są najlepsi, dżentelmeni w każdym calu, jak to się mówi, naprawdę kulturalni i...

- Myślałam — powiedziała Arietta spokojnie, starając się opanować — że nie mogę wyobrazić sobie Spillera w białej skórzanej kurtce.
- Kurtka nie pozostaje długo biała — odpowiedziała Lucy — mogę cię zapewnić. Kiedyś była biała, bo jest zrobiona z rękawiczki. A wiesz, z jakiej rękawiczki? Z prawdziwej balowej, długiej aż do łokcia — to była jedna z nielicznych Rzeczy, jakie udało mi się wynieść z salonu. Gdy przemoknie na deszczu, sztywnieje, oczywiście, ale jak Spiller włoży ją na siebie i ponosi, zaraz znów mięknie. Lecz teraz ta skórka — dodała po chwili — nie jest już biała, ma na sobie ślady wszystkich kolorów tęczy.

Arietta próbowała wyobrazić sobie, jak ta kurtka wygląda. Nie, to niemożliwe, żeby była w kolorach tęczy, przypomina chyba raczej jedną wielką plamę, i to w takich barwach, które czynią Spillera mało widocznym: ma kolor piaskowy albo jasnobrązowy, albo ciemnozielony, albo szarawy jak ołów. Spiller dbał o to, żeby jego odzież była dostosowana do pory roku, aby

4 — Pożyczalscy na wyspie

49

mógł z łatwością stopić się w jedno z krajobrazem i jak najmniej odcinać się od tła. Można było stać przy nim, a jednak go nie zauważyć. Spiller wprowadzał w błąd zarówno ludzi, jak zwierzyne. Spiller oszukiwał jastrzębie, lisy, gronostaje... I to nieprawda, że Spiller jest niechlujny — nawet jeśli nie myje się starannie, to zawsze otacza go jakiś przyjemny, zmieszany zapach — pachnie czymś zielonym, liśćmi, trawą, może korą drzew, może wilgotną, parującą w słońcu ziemią, może wczesną rosą poranną...

- Kiedy on przyjdzie? — zapytała Arietta. I nie czekając na odpowiedź, pobiegła na górę do swego mieszkania.

Było tu pusto, nikt jej nie widział. Ukryła się skulona za mydelniczką i nagle wybuchnęła płaczem. Płakała, choć sama nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że rozmowa o Spillerze przypomniła jej życie na

swobodzie, jakiego już pewno nigdy więcej nie zazna. Ta nowa znaleziona przystań — za dziurą w boazerii — wkrótce może wydawać jej się tylko więzieniem...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Henryk i dwaj starsi chłopcy wnosili meble na górę, a Strączek czekał już na progu swojego mieszkania i odbierał je z ich rąk. Tym sposobem Lucy dawała to, co chciała im dać, a nie to, co mogliby sobie wybrać. Jednakże Dominika przestała zrzędzić; z chwilą gdy zdała sobie sprawę, w jak przymusowej sytuacji znaleźli się wszyscy troje, uspokoiła się całkowicie.

Zwykle po obiedzie zostawali w kuchni nieco dłużej, ażeby pomóc Lucy w sprzątanii. Przedłużali lub skracali swe wizyty w zależności od jej humoru. Gdy czyniła im cierpkie uwagi, gniewając się za byle głupstwo i złoścąc z powodu drobnych nawet nieporozumień, które często sama wywoływała — uważali, że najmądrzej w takiej sytuacji ulotnić się bez dyskusji.

— Dziś nie można było zostać tam ani chwili dłużej — mówili do siebie, siedząc w swoim pokoju na starych korkach od szampana (które kiedyś należały do Dominiki, obecnie zaś Lucy uwa-

51

żała za stosowne przydzielić im w charakterze zydeków), choć nie mieli tu nic do roboty.

Najchętniej sadowili się w pobliżu obudowy kominka, gdyż tam było najcieplej. W drugim pokoju stały łóżka Strączka i Dominiki, przyniesione z domu dla latek. Arietta spała w pokoju pierwszym od wejścia. Za posłanie służył jej potrójnie złożony kawał prasowanej waty, „pożyczony” kiedyś, w dawnych czasach, z pudełka z kredkami pastelowymi.

— Żle się stało, Strączku — powiedziała któregoś wieczora Dominika, gdy tak siedzieli na górze — żeśmy w ogóle tu przyszli.

— Nie mieliśmy wyboru — odparł Strączek, zajęty przyszywaniem podeśzty do bucika.

— I trzeba się stąd jak najprędzej wynieść — dodała Dominika po chwili.

— Ba! Ale dokąd? — zapytał Strączek.

Wydawało mu się, że dla niego sprawy przyjęły nieco lepszy obrót: udało mu się oczyścić z rdzy igłę do cerowania, mógł więc zabrać się z powrotem do swego umiłowanego szewskiego rzemiosła. Henryk przyniósł mu skrawek skóry łasiczki — oderwany od jednej z tych skór, które wisały rozpięte i przybite gwoździkami na drzwiach leśniczówki, ażeby dobrze się wysuszyły — i Strączek z zapamiętaniem robił z niej buciki. Sporządził parę trzewiczków dla Lucy, i tak jej się spodobały, że na jakiś czas spuściła z tonu

52

'•»»r.» i

i nie miała już wciąż o wszystko pretensji do Strączka, jego żony i córki.

- A gdzie Arietta? — zaniepokoiła się nagle Dominika.
- Chyba na dole — odparł Strączek spokojnie,
- Co ona tam robi?
- Pewno opowiada bajeczki Tymusiowi, żeby szybciej zasnął.
- Wiem — ucięła krótko Dominika, ale po chwili podjęła znowu: — Co ona tam robi tak długo? Wczoraj, ledwo zdążyłam się zdrzemnąć, zbudziły mnie jej kroki...
- Zagadała się ^ kimś — pewnie — wyraził przypuszczenie Strączek.

Dominika milczała chwilę — i nagle oznajmiła:

- Niedobrze się czuję... Mam... przeczucie. „Przechuciem” nazywa się wśród Pożyczalskich taki stan, kiedy, nie wiadomo jak i skąd, jakimś tajemniczym zmysłem, wyczuwają obecność Człowieka w pobliżu. U Dominiki zaczynało się to od drżenia kolan.

Strączek podniósł głowę i spojrzał w górę, na szparę, przez którą przesączała się nikła smużka światła.

- Ten stary gajowy pewno kładzie się spać — powiedział. — I pali świecę.
- Nie, nie — odparła Dominika, wstając. — Do tego jestem już przyzwyczajona. Te szmery słyszymy przecież co wieczór.

53

I zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju.

- Chyba zejść na dół — powiedziała z nagłym postanowieniem — i zobaczę, co się tam dzieje.
- Po co? — zapytał Strączek.
- Chcę się dowiedzieć, gdzie ona jest.
- Już tak późno — i próbował zaoponować Strączek.
- Tym bardziej! — odparła krótko i energicznie Dominika.
- A gdzie ona może być, jeśli nie na dole?
- Nie wiem, Strączku. Mam przeczucie i muszę sprawdzić sama.

Dominika przywykła już do poruszania się po tych chwiejących się deskach: nie pęzała na czworakach, tak jak na początku, nawet po ciemku. Ale tego wieczora było tu wyjątkowo ciemno. Gdy stanęła na

pomoście, doznała wrażenia ziejącej pod jej stopami przepaści, z głębi wionęło na nią zimno, jakby dmuchał przejmujący ziąbem wiatr. Starła się iść środkiem pomostu, unikając zbliżania się do jego nie osłoniętych brzegów, aż wreszcie dotarła do mieszkania Lucy i Henryka.

Salonik był nie oświetlony, tylko z przylegającej doń kuchni padał słaby brzask ognia, tłącego się pod blachą. Słyszać było także miarowy rytm oddechów.

— Arietko! — zawołała Dominika cicho, prawie szeptem, stając na progu.

Henryk chrapnął głośno i wymamrotał coś

54

9 »_

przez sen. Dominika słyszała, jak przewrócił się na drugi bok na swoim pościu.

— Arietko! — zawołała już głośniejszym szeptem Dominika.

— Co się stało? — krzyknęła, głośno i ostro, zbudzona nagle Lucy.

— To ja... Dominika.

— Czego chcesz? Wszyscy już śpią — mówiła Lucy szorstko. — Henryk miał dziś taki ciężki dzień...

— Nic, nic — wyjąkała Dominika. — Szukam Arietty.

— Arietta poszła na górę — odparła Lucy.

— Dawno?

— Przed godziną.

— Ach... — zaczęła Dominika i zamilkła. Przez chwilę słysząc tylko było oddechy śpiących.

— Przepraszam — wyszeptała Dominika, zawstydzona. — Idę już.

— Zamknij drzwi za sobą. Z pomostu bardzo wieje — rzekła Lucy rozkazująco.

Torując sobie drogę po ciemku przez zagracony pokój, Dominika ujrzała nagle przed sobą słabe światełko, jakiś mętny odblask na samym pomoście... Czyżby to światło padało z góry, z ich pokoju, w którym Strączek siedział i szył buciki? Ale przecież przed chwilą jeszcze nic nie było widać...

Dominika, załęknięta, przystanęła na pomoście.

55

Zorientowała się nagle, że ten nikły blask padał nie z góry, jak początkowo myślała, lecz skądś z daleka, pewno z dołu. Drabina z patyczków stała wciąż na swoim miejscu, tylko górne szczeble jakby się trochę

chwiały. Po chwili Dominika zebrała się na odwagę i przechyliła w dół, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Ku swemu zdumieniu ujrzała Ariettę, pnącą się po drabinie: głową sięgała już prawie najwyższej poprzeczki. W głębi, na samym dole, przez ostrołukowy otwór w boazerii wpadało światło.

— AriettoL. — zawołała stłumionym szeptem. Arietta nic nie odpowiedziała. Gdy stanęła na ostatnim szczeblu drabiny, przyłożyła palec do ust i szepnęła:

— Później ci wytłumaczę. Cofnij się! Dominika odwróciła się posłusznie i ustąpiła

jej z drogi. Arietta, dysząc ciężko z wysiłku, wciągnęła drabinę i ułożyła ją w poprzek pomostu.

W półmroku, dzięki światłu padającemu z dołu, mogły widzieć się nawzajem: Dominika stała z szeroko otwartymi oczyma, a wargi jej wyraźnie drżały, Arietta zaś znów przyłożyła palec do ust.

— W porządku! — zawołała, przechyliwszy się przez pomost w dół.

Dominika usłyszała jakby tarcie jednego kawałka drewna o drugi i przytłumione stuknięcie — a po chwili światło na dole zgasło.

56

— Zasunął wejście pudłem — wyjaśniła Ariet-ta szeptem wśród zapadłych nagle ciemności. — Daj mi rękę, mammo... Nie bój się! — dodała błagalnie. — I nie gniewaj się na mnie. Powiedziałabym ci i tak wszystko sama.

I podtrzymując za łokieć szczękającą zębami Dominikę, pomogła jej wspiąć się na górę.

Dominika bez słowa padła na łóżko. Strączek podniósł głowę znad swej roboty.

— Co się stało? — zapytał wystraszony.

— Zaraz ci powiem — rzekła Arietta. — Tylko najpierw zajmę się mamą.

f Ułożyła matkę wygodnie na łóżku i przykryła jej nogi jedwabną chustką — pożółkłą na skutek zbyt częstego prania i tu i ówdzie poplamioną kopiowym atramentem — którą Lucy zaofiarowała im jako kołdrę. Dominika leżała z zamkniętymi oczyma i bezdźwięcznie poruszała zbielełymi wargami.

— Ona znów tam była — wyszeptała wreszcie z wysiłkiem.

— Gdzie? — zaniepokoił się nie na żarty Strączek.

Rzucił nie dokończone trzewiczki i zerwał się na równe nogi.

— U... u... Ludzi — wyjaśniła Dominika. — Mówiła...

Strączek przybliżył się i usiadł na skraju łóż-

57

ka. Dominika otworzyła oczy. Oboje zwrócili wzrok na Ariettę.

— Z kim mówiła? — chciał dowiedzieć się wreszcie Strączek.

— Z tym chłopcem... to jasne... z Tomem — odpowiedziała Dominika. — Przyłapałam ją prawie na gorącym uczynku. Już teraz wiadomo, gdzie spędza wieczory. Myśleliśmy, że ona jest na dole, a Henrykowie myśleli, że ona jest na górze.

— No, Arietta przecież wie dobrze, do czego to może doprowadzić — rzekł Strączek surowo.

I z poważną miną dodał:

— Przypomnij sobie, moje dziecko, że od tego właśnie tam, we Wrzosowym Wzgórzu, zaczęły się nasze .wszystkie kłopoty...

— Rozmawiać z Ludźmi!... — jęknęła Dominika i aż wzdrygnęła się cała.

Nagle oparła się na łokciu i z rozdrażnieniem, podniesionym głosem, krzyknęła na Ariettę:

— Ty niegodziwa, bezmyślna dziewczyno!... Jak mogłaś zrobić drugi raz to samo!...

Arietta wytrzymała ten atak odważnie i jakby nie wywarł na niej żadnego wrażenia, odpowiedziała spokojnie:

— Ależ, zrozumcie, moi kochani: z Tomem jest całkiem inna sprawa. Naprawdę nie wiem, o co wam idzie. Przecież on i tak wie, że my tu jesteśmy. Sam nas tu przyniósł. Gdyby chciał po nas sięgnąć, mógłby zrobić to w każdej chwili...

58

»»T.

* 9

$\langle L^v/z;$

— Jakto: sięgnąć po nas? — zapytała Dominika, znów słabnącym głosem.

— A tak! Wystarczyłoby przełamać tę ściankę. Przecież ona jest tylko z gipsu.

— Nie opowiadaj takich rzeczy, Arietto! — obriszyła się Dominika.

— Ależ to jest prawda! — odparła Arietta. I po chwili dodała:

— Zresztą, on i tak wyjeżdża.

— Wyjeżdża? — zaniepokoił się Strączek.

— Wyjeżdżają obaj — wyjaśniła Arietta — on i jego dziadek. Dziadek wyjeżdża do takiego

miejsca, które nazywa się Szpital, a chłopiec jedzie do swego wujka, do... jak się ta miejscowość nazywa? Aha, przypomniałam sobie: Jastrzębia Skała. Jego wujek tam pracuje jako... jako... Jak on to powiedział? Jako masztalerz * — dokończyła jednym tchem. — Co to właściwie znaczy: „masztalerz”? — zapytała po chwili, zaciekawiona.

Lecz rodzice jej nie odpowiedzieli. Spoglądali na siebie nawzajem wzrokiem, w którym malowało się nie ukrywane przerażenie. Milczeli, jak gdyby ta nowina przytłoczyła ich ostatecznie.

— Musimy powiedzieć to Henrykowi — odezwał się w końcu Strączek. — I to jak najszybciej!

Dominika kiwnęła głową na znak zgody. Usia-

* Objaśnienia wyrazów trudnych znajdują się na końcu książki. 60

dła na łóżku, z nogami opuszczonymi na podłogę, i podparła głowę rękoma.

— Ale nie będziemy chyba budzić ich po nocy — rzekł Strączek. — Powiem im z samego rana.

— Och, moi drodzy — jęknęła swoim zwyczajem Dominika. — Biedne dzieci!...

— Co się stało? — zapytała Arietta. — Co ja takiego powiedziałam?

Teraz dopiero poczuła się naprawdę winna i wodziła oczyma po zatroskanych twarzach rodziców.

— Arietto — powiedział Strączek, zwracając się wprost do niej z wielką powagą. — Wszystko to, co mówiliśmy o Ludziach, jest całkowitą prawdą. Ale nie powiedzieliśmy ci tego czy też może nie powiedzieliśmy z dostatecznym naciskiem: my, Pożyczalscy, bez Ludzi żyć nie możemy.

Zamilkł i dopiero po chwili dokończył:

— Jeśli obaj wyjadą i zamkną dom, to znaczy, że z nami koniec!...

— Nie będzie żywności, nie będzie ognia, nie będzie wody, nie będzie ciepła, nie będzie się w co ubrać... — wyrecytowała Dominika jednym tchem, jak gdyby nauczyła się tych słów na pamięć.

— Będzie głód — dokończył Strączek krótko, po męsku.

wmwnwnmnw»»»

'7^/f/am////jm//fm/MitMmtat\u\\mk\\\\\\\\

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazajutrz rano Henryk, gdy dowiedział się, co ich czeka, zwołał wszystkich na „konferencję”. Zjawili się po kolei, przejęci powagą sytuacji, a Lucy wyznaczała każdemu miejsce przy stole. Ariettę poddano gruntownemu przesłuchaniu.

— Czy jesteś pewna, że dobrze słyszałaś? Tak, Arietta była pewna.

— Czy jesteś pewna, że mają takie właśnie plany?

Tak, Arietta była tego najzupełniej pewna: Tom i jego dziadek wyjeżdżają za trzy dni, bryczką zaprzęzoną w myszatego kucyka, zwanego Książątkiem, przyjedzie po nich wuj Toma, ten wuj nazywa się Fred Tarabody i pracuje jako masztalerz w oberży „Pod Łabędziem” — ale co to znaczy masztalerz, tego Arietta nie wiedziała i nikt nie umiał jej wytłumaczyć — i Tom jest bardzo zmartwiony, bo zginęła jego oswojona łasiczka, chociaż miała dzwoneczek pod szyją i obrózkę, na której było wypisane jej imię, zginęła przed dwoma dniami, kiedy był razem z nią

62

k « Q

w pobliżu nory króliczej, i Tom się boi, że będzie musiał wyjechać bez niej, a zresztą, nawet gdyby się znalazła, nie był pewien, czy pozwoli mu zabrać ją z sobą.

— Tu nie ma jej na pewno — rzekł wuj Henryk i zabębnił palcami po stole.

Wszyscy mieli grobowe miny i siedzieli w milczeniu.

Wuj Henryk policzył na głos:

— Jeden, dwa, trzy; cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Jest nas dziewięć osób.

A gdy skończył liczyć, pogłodził się z powagą po swojej koziej bródce.

— Jeśli chodzi o „pożyczanie” — odezwała się Dominika — to Strączek mógłby ci przyjść z pomocą.

—fl ja mogłabym także — wtrąciła Arietta.

— I ja także — pisnął nagle mały Tymuś. Wszyscy roześmieli się — oprócz Henryka,

który skarcił wzrokiem malca — a Lucy pogłaskała go po głowie.

— „Pożyczanie”. Hm! Ale co „pożyczać”? — zapytał Henryk, zatroskany. — Nie, nie chodzi nam teraz o „pożyczanie”, raczej przeciwnie — przy tych słowach spojrzał znacząco na Domini-kę, a ona opuściła oczy i spiekła raka. — Chodzi o to, żeby było co „pożyczać”. Chłopiec i dziadek, o ile ich znam, nie zostawia tu ani okruszyny. Będziemy musieli żyć z tego, co udało nam się dotychczas zaoszczędzić...

63

— Dopóki zapasów wystarczy — rzekła Lucy z naciskiem.

— Dopóki zapasów wystarczy — powtórzył Henryk. — A nie mamy ich wiele.

Zapanowało przytłaczające milczenie.

— Tak, nie mamy ich wiele — potwierdziła szybko Lucy.

Przebiegła wzrokiem półki nad kuchnią, jakby chciała naprędce policzyć, co na nich stoi — ale po chwili ona także zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

— Mówiąc o „pożyczaniu”... — wyjąkała Dominika — miałam na myśli to, co jest w ogrodzie... warzywa... groszek... fasolka szparagowa... co zostało zasiane na polu...

— • Ptaki wydziobią nasiona — odparł Henryk — jak tylko Ludzie wyjadą i nikt nie będzie ich odganiał. O, zaraz poczują, że nikogo nie ma... A co najgorsze — ciągnął dalej po chwili — w tych lasach jest mnóstwo drapieżników, różne dzikie łasice, lisy, borsuki, jastrzębie, krogulce...

— Przestań, Henryku! — poprosił Strączek. — Przecież Dominika jest już bliska zemdlenia...

— Nic mi nie jest... — wymamrotała Dominika i wypila łyk wody z żółtodziowego kubka.

Lecz Henryk nie pozwolił sobie przerwać:

— ...sowy, puchacze i myszołowy — kończył tę swoją długą listę drapieżników z wyraźną satysfakcją. — Widzieliście sami skórki zwierząt przybite na drzwiach i martwe ptaki rozwieszono-

64

„« 9

ne na kolczastych krzakach. Dopóki Ludzie tu •byli, żadne zwierzę z lasu nie ośmieliło się przybliżyć. Ale teraz, kiedy obaj odjadą...

I Henryk rozłożył ręce na znak całkowitej bezradności.

Przy stole panowała cisza jak makiem zasiał. Arietta zerknęła na Tymusia: twarzyczka malca zbieleła z przerażenia.

— A jak dom będzie zamknięty i drzwi zatrzaśnięte — podjął znów po chwili Henryk — to w jaki sposób, zdaniem waszym, będziemy mogli stąd wyjść?

I powiódł po obecnych spojrzeniem tak triumfującym, jak gdyby był uszczęśliwiony, że udało mu się napędzić im takiego stracha, Dominika, z głową wspartą na łokciu, milczała. Żałowała, że odezwała się wcześniej.

— Jakiś sposób przecież się znajdzie — bąknął Strączek.

Ale Henryk nie zadowolił się tym ogólnikowym stwierdzeniem.

— Jaki, na przykład? Chciałbym to wiedzieć. Strączek zmieszał się i nic nie odpowiedział.

— Poprzednim razem, gdy wyjechali, mieliśmy tu istną plagę myszy polnych... — podjął znów po chwili Henryk. — W całym domu, na dole i na górze, było ich pełno. Teraz Ludzie, nauczeni doświadczeniem, wyjeżdżając pozamykają wszystko na cztery spusty. Pająk tu nawet się nie wśliźnie!

5 — Pożyczalscy na wyspie

65

— Ani się stąd nie wśliźnie — uzupełniła Lucy, kiwając głową z ubolewaniem.

— Tak, nikt stąd nie wyjdzie — przytaknął Henryk i, jakby zmęczyła go własna elokwencja, napił się wody.

Znów jakiś czas nikt nie zabierał głosu. Wreszcie Strączek chrząknął i odezwał się:

— Przecież wyjadą nie na stałe. Henryk wzruszył ramionami.

— Czy to wiadomo?

— A zresztą, gdyby nawet wyjechali — mówił dalej Strączek — to przecież będzie potrzebny jakiś gajowy. Jak nie ten, to inny. Jeden wyjedzie, drugi przyjedzie. Dom długo nie będzie stał pusty — taką dobrą leśniczówką, na skraju lasu, w którym pełno zwierzyny, z wodą bieżącą, na pewno ktoś się zainteresuje...

— Czy to wiadomo? — powtórzył jeszcze raz Henryk.

— Chodzi więc tylko o to — mówił dalej Strączek — żeby przetrzymać najgorszy okres. To najważniejsze.

— Słusznie — przyznał Henryk.

— Nie wiadomo jednak, jak długo taki trudny okres może trwać — tak czy nie?

— Tak — znów zgodził się Henryk.

— Im dłużej starczy wam żywności — ciągnął dalej Strączek — tym spokojniej będziecie mogli czekać.

— Bez wątpienia — wtrąciła Lucy.

66

— A więc — mówił Strączek — im mniej będzie osób do wyżywienia, tym dłużej wystarczy żywności.

— Tak jest — pokiwał głową Henryk.

— No, a ponieważ — Strączek zamilkł na chwilę, zanim dokończył — jest was sześćcioro...

— Dziewięcioro — poprawił Henryk, obejmując wzrokiem wszystkich siedzących przy stole. — Jest nas, ściśle mówiąc, dziewięcioro.

— Nas nie licz — rzekł Strączek. — Dominika, Arietta i ja — wyprowadzamy się.

Była to wiadomość zaskakująca dla wszystkich, nie wyłączając Dominiki. Strączek zwrócił się do niej z pytaniem:

— Tak postanowiliśmy, prawda, kochanie? Dominika wytrzeszczyła oczy, a Strączek trącił

ją nogą pod stołem, żeby się nie sprzeciwiała. Dominika zamrugła powiekami, kaszlnęła, jakby coś nagle stanęło jej w gardle, i wymamrotała:

— Tak... tak... postanowiliśmy.

Przy stole rozpętała się istna burza: padały pytania, propozycje, argumenty, ale Strączek uparcie obstawał przy swoim.

— Nie wiesz chyba, co mówisz — powtarzał raz po raz Henryk, a Lucy pytała:

— Wyprowadzacie się?... Wyprowadzacie się?... Ale dokąd? Dokąd?

— Niedobry jest zbyt ni pośpiech, Strączku — przypominał Henryk. — Ostateczna decyzja za-

5*

67

leży od was, to jasne, ale dopóki jesteśmy tu razem — powiodł wzrokiem dokoła — wszystkie zapasy, cała żywność, wszystko, co nasze, jest także* i wasze.

— Bardzo ładnie, że tak mówisz, Henryku — rzekł Strączek. — Dziękuję ci.

— Nie ma za co — odparł Henryk, niezbyt dobrze maskując zmieszanie. — Przecież to całkiem zrozumiałe.

— To tylko ludzkie — wtrąciła Lucy; widocznie bardzo podobało jej się to określenie.

— Ale widzę — mówił dalej Henryk — że powzięliście już decyzję.

— Tak jest — odparł Strączek.

— W takim razie — powiedział Henryk — nie pozostaje nic innego, jak skończyć tę naradę i życzyć wam powodzenia!

— I ja tak myślę — rzekł Strączek.

- A więc — szczęścia i powodzenia, moi drodzy! — rzekł Henryk.
- Dziękuję ci, Henryku!
- Całej waszej dzielnej trójce — tobie, Strączku, Dominice i małej Arietcie — życzymy sukcesów w życiu... i w „pożyczaniu”\

Dominika mruknęła coś niezrozumiałego i znów zapanowało przy stole niezręczne milczenie. Wszyscy unikali nawzajem swoich spojrzeń.

- Chodź, moja droga — rzekł Strączek, wstając i pomagając wstać Dominice. — Przepraszamy — zwrócił się do Lucy, która siedziała czer-

68

k« ®

wona jak burak — ale musimy już iść. Mamy jeszcze sporo do roboty. Chcemy zastanowić się i omówić nasze projekty.

Henryk, wyraźnie zakłopotany, odprowadził ich do drzwi.

- Kiedy zamierzacie nas opuścić, Strączku? — zapytał.
- Za jakieś dwa, trzy dni — odparł Strączek. — Jak już tam na górze nie będzie nikogo.
- Nie trzeba się śpieszyć, mówiłem ci już — rzekł Henryk. — I jeżeli wam czegoś potrzeba...
- Dziękuję — przerwał mu Strączek.
- ...wystarczy powiedzieć nam tylko jedno słowo.
- Dziękuję — powtórzył Strączek chłodno. Wyszli oboje z Dominika. Arietta jeszcze została.

E^vi^\\ll/'w^#f ii:niigiii;^f^if "w/at^ ^y/z^^yw^^

"ffff(mMMff(Włtrmmmm f" "WiliUI tw

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dominika poszła prosto do swego pokoju i usiadła na łóżku. Nie odzywała się ani słowem. Ręce jej drżały.

- Musiałem tak powiedzieć — usprawiedliwiał się Strączek. — A co gorsza, musimy to zrobić.

Dominika kiwnęła głową w milczeniu.

- Jesteśmy w bardzo przykłej sytuacji — stwierdził Strączek.

Dominika znów pokiwała głową.

— Nic ci na myśl nie przychodzi? — zapytał Strączek. — Może moglibyśmy jednak...

— Nie! — przerwała Dominika. — Nie zostaniemy tutaj! Za żadne skarby!

— Uspokój się! — poprosił Strączek.

Lecz Dominika powtarzała, rozgorączkowana:

— Nie, nie! Za nic na świecie! Nie zostanę razem z Lucy, choćby mnie ożłociła... Chociaż wcale się na to nie zanosz — dodała tonem już nieco spokojniejszym. — Dość się namęczyłam.

— Biedactwo! — rozczulił się Strączek.

70

"••-:

k \$ 9

— Tylko ze względu na dziecko... Myślałam, że Arietta powinna znaleźć się wśród swoich rówieśników, poznać bliżej rodzinę. O nasze meble nie upominałam się nawet.

— To prawda — przyznał Strączek.

— Ale kiedy Henryk zaczął mówić o tych drapieżnikach... — Dominika zatrzęsała się cała — i o tych przebrzydłych ptakach...

— Wystraszyłaś się?

— Postanowiłam: musimy się stąd wynieść. Mieć własne mieszkanie.

— Mieć własne mieszkanie — powtórzył Strączek jak echo.

I rozejrzał się dookoła niepewnie, a jego krągła jak cyferblat twarzyczka od razu zszarzała.

Po chwili zjawiła się Arietta, prowadząc za rękę małego Tymusia. Oboje byli bladzi i wystraszeni.

— O, Arietta! — rzekła Dominika słabym głosem. — Jesteś już?

I spojrzała na Tymusia, trochę zdziwiona.

— Napierał się, żeby iść ze mną — wyjaśniła Arietta, a malec uczeplił się kurczowo jej ręki i nie puszczał.

— Zabierz go do swego pokoju. Pobaw się z nim albo opowiedz mu jakąś bajkę.

— Dobrze. Za chwilę. Ale wpierw chciałabym o coś zapytać...

— Później — nie pozwolił jej dokończyć Strączek. — Będziemy mieli dość czasu,

żeby

71

porozmawiać. Pomówimy o tym i o owym, ale później!

— Tak, opowiedz Tymusiowi jakąś historyjkę.

— Ale to nie będzie o sowach? — zaniepokoił się Tymuś i oczy rozszerzyły mu się ze strachu.

— Nie — rzekła Dominika. — Nie o sowach. Poproś Ariettę, żeby opowiedziała ci o domku dla lalek. I o takich malutkich figurkach... jeszcze mniejszych niż my, Pożyczalscy. Jak one się nazywały, Arietko?

Ale dziewczynka jakby nie słyszała, co do niej mówiono. Spojrzała pytająco na każde z rodziców z osobna.

— Mówiliście to serio? — zapytała nagle. — Naprawdę macie taki zamiar?

Dominika i Strączek zamienili spojrzenia, zaskoczeni jej natarczywym tonem.

— Naturalnie — odpowiedział Strączek. — Jak najbardziej serio.

— O, jak to dobrze! — ucieszyła się Ariet-ta. — Jak to dobrze! — i oczy jej nagle napełniły się łzami. — Wyjść znów na świat... zobaczyć niebo, słońce!...

Rzuciła się rodzicom na szyję, ucałowała po kolei ojca i matkę.

— Wszystko będzie dobrze! — wykrzykiwała, — Zobaczycie, wszystko będzie jak najlepiej!

T*

.« 9

I rozpromieniona z radości, zwróciła się do Tymusia:

— Chodź, malutki, opowiem ci śliczną bajeczkę — nie tylko o domku dla lalek, ale o całym miasteczku... gdzie jest dużo, dużo małych domków... To miasteczko nazywa się Mały Potok...

O tym miasteczku krążyły od lat legendy wśród Pożyczalskich. Kto pierwszy o nim opowiadał, nikt nie mógł sobie przypomnieć — może zaczęło się od jakiejś rozmowy podsłuchanej w kuchni, a powtórzonej później w pokoju dziecinnym lub w salonie — a może ktoś po prostu sobie to wszystko wymyślił? Ale chyba nie, za wiele znano szczegółów. A więc Mały Potok był to zmniejszony model kompletnie urządzonego osiedla. Solidnie zbudowany stał w ogrodzie Człowieka, który to osiedle zaprojektował, i zajmował spory obszar. Znajdowało się tu mnóstwo filigranowych budynków: kościółek z organami, szkoła, sklepy, a ponieważ parcelę przecinał strumyk, nad wodą mieścił się malutki port, komora celna i magazyny. Zamieszkiwały to miniaturowe osiedle gipsowe laleczki, wzrostu mniej więcej Pożyczalskich, zastygłe w jakiejś jednej przypadkowej pozie lub też siedzące bez ruchu w wagonach jadących donikąd

pociągów.

Od rana do wieczora ludzie stali przed tym

73

projektem osiedla, odgrodzonym dla bezpieczeństwa łańcuchem od wyasfaltowanych ścieżek. Odchodząc zostawiali po sobie śmieci: nie dojedzone tutki waflowe od lodów, skórki chleba, ogryzki jabłek, łupinki ze szczątkami orzechów („Wyżyć z tego nie można — powiedziałyby Dominika — ale zawsze to już byłoby coś...”). Najbardziej zachwycające w Małym Potoku były modele domków, mogących zadowolić najwybredniejszy gust i obliczonych na różną ilość osób: jednorodzinne i „bliźniacze”, już to ciągnące się rzędem wzdłuż jednej uliczki, już to stojące każdy z osobna w ładnym ogródku — domki solidnie zbudowane, kryte dachem, dobrze osadzone w ziemi, żeby Człowiek nie mógł przez ciekawość wziąć ich do ręki ani wścibić nosa do środka, jak to czyni się zwykle z domkami dla lalek. Drzwi ani okna — jak słyszała Arietta — nie otwierały się w ogóle. Stanowiło to wprawdzie ujemną stronę, ale na to znalazłyby się rada.

— Wcale nie trzeba by otwierać drzwi — wyjaśniła Arietta szeptem Tymusiowi, gdy siedzieli skuleni na jej łóżeczku. — Pożyczalscy nie byłiby tacy głupi! Zrobiliby podkop w miękkiej ziemi ogrodowej i w taki sposób mogliby się przedostać do środka, że nikt by ich nie zauważył.

— Opowiedz coś jeszcze o tych pociągach — poprosił również szeptem Tymuś.

I Arietta opowiadała. Powtarzała to, co sły-

74

i tf < ; *

szała, i dodawała od siebie to, co wymyśliła. Porwał ją ten świat fantastyczny tak bardzo, że zapomniała o teraźniejszości, o kłopotach rodziców, o obawach wuja Henryka. Zapomniała, że jest w brzydkim, zakurzonym, nieumeblowanym pokoiku między deskami, zapomniała, że w pobliskich lasach czyhają różnego rodzaju niebezpieczeństwa, zapomniała nawet o tym, że jest głodna.

f

I

2IMit/MMm//////////ffMN^^

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Ale dokąd pójdziemy? — zadawała wciąż to samo pytanie, może już po raz dwudziesty, zatroskana Dominika.

Od rozmowy z Henrykiem minęły dwa dni. Wszyscy troje siedzieli w pokoiku Arietty, sortowali rzeczy porzucane na podłodze i wybierali spośród nich te, które mogły przydać im się w drodze. Postanowili wziąć z sobą tylko to — i Strączek obstawał przy tym z całą stanowczością — co Lucy nazywała „ręcznym bagażem”. Zaofiarowała im na ten cel rękaw nieprzemakalnego płaszcza, który rozciągli na trzy kwadraciki

i zapakowali w nie rzeczy.

— Myślę — zaczął Strączek — że najlepiej będzie na początku dostać się do naszej dawnej dziury w nasypie.

— Nie uważam, żeby to było najlepsze wyjście — rzekła Dominika. — Nie ma tam już przecież buta, w którym moglibyśmy zamieszkać.

— Ależ, moja kochana, dokądś musimy prze-

76

»« 9

cięż stąd iść. Teraz będzie coraz cieplej, jest już prawie wiosna.

Dominika odwróciła się do niego i zapytała:

— A znasz drogę?

— Nie — odparł Strączek, zwijając w kłębek smołowany sznurek. — O drogę będziemy musieli zapytać.

— A czy wiesz, jaka jest pogoda?

— Nie wiem — odparł Strączek. — Prosiłem już Ariettę, żeby się dowiedziała.

Nie bez pewnych obaw, ale w poczuciu „wyższej konieczności” sami wysłali Ariettę do Toma, żeby zasięgnęła u niego informacji.

— Propros go, żeby zostawił nam przejście — pouczał ją Strączek. — Jakiś otwór w murze, choćby najciaśniejszy, choćby nie wiem jak wąziutki, żebyśmy tylko mogli wydostać się na zewnątrz i przenieść nasze rzeczy, bagaż ręczny, po kolei, sztuka za sztuką. W najgorszym razie niechby to było jakieś okno tuż nad ziemią: niech Tom zostawi je nie domknięte. I niech odsunie pudło od klocków od boazerii. Żadne z nas nie będzie miało tyle siły, ażeby przesunąć to pudło, nawet gdyby było puste. Ładnie byśmy wyglądali, my i Henryk z rodziną, gdyby wyjechał i zostawił nas wszystkich zamkniętych za ścianą! I popros go, żeby dał nam wskazówki na drogę, ale o dziurze w nasypie — słyszysz? — ani słowa! Nie wspominaj nawet. Na dworze musi być teraz jeszcze chłodno, przecież to marzec. Zapy-

77

taj go, czy czasem śnieg nie pada. Jeśli pada, to nie możemy stąd wyruszyć. Musimy przeczekać...

„Ale czy możemy czekać?” — zadawał sobie Strączek pytanie, zawieszając na gwoździu zwój smołowanego sznurka i wbijając weń swoją szpilkę do kapelusza. Henryk powiedział mu w przypiływie wielkoduszności: „Jesteśmy wszyscy w tej samej sytuacji i musimy sobie nawzajem pomagać”. Ale wkrótce potem Lucy, gdy omawiały z Dominiką szczegóły wyprowadzki, powiedziała jej wprost: „Nie

chciałabym, żebyś uważała mnie za okrutną, Dominiko, ale muszę ci powiedzieć, że w takiej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się wszyscy, każdy powinien myśleć tylko o sobie. I gdybyś ty była na naszym miejscu, na pewno powiedziałabyś tak samo".

Była dość hojna, jeśli chodziło o ofiarowanie im różnych rzeczy — rękaw od płaszcza nieprzemakalnego był tego szczytowym dowodem — lecz półki w spiżarni nagle zaczęły świecić pustkami. Cała żywność znikła sprzed oczu, najwidoczniej zapasy zostały gdzieś głęboko schowane, i Lucy wydzieliła jedynie każdemu z nich po piętnaście ziarenek suszonego groszku, wyraziwszy przy tym nadzieję, że „wystarczy im na długo".

Trzymali więc ten groszek namoczony w my-delnicze i Dominika wyjmowała po trzy ziarenka dziennie, ażeby ugotować z nich zupę w kuchni u Lucy.

78

i» •-

I to ma im wystarczyć na długo... na jak długo? Nad tym rozmyślał właśnie Strączek, ścierając plamkę rdzy ze swej szpilki do kapelusza, przewyższającej go wysokością. „Teraz będzie jak nowa — pomyślał i wypróbował końcem palca jej ostry szpic. — Dobra stal. Nie, nie ma rady, trzeba ruszyć w drogę, i to jak najprędzej, śnieg czy nie śnieg, uciekać, dopóki jeszcze można!../'

— Ktoś idzie — rzekła Dominika, nasłuchując. — Pewno Arietta już wraca.

Wyszli oboje jej na spotkanie: dziewczynka była zarumieniona, jakby dłuższy czas grzała się przy# piecu. W jednej ręce trzymała długi stalowy gwóźdź, w drugiej plasterek sera.

— Możemy zjeść to od razu! — zawołała podniecona. — Jest tego na dole bardzo dużo. Tom powsuwał mnóstwo rzeczy do szpary za pudłem od klocków. Leży już tam kromka czerstwego chleba, kilka plasterków sera, sześć pieczonych kasztanów i jedno jajko.

— Chyba nie kurze? — spytał Strączek.

— Ależ tak! Kurze!

— Ojej! — zafrasowała się Dominika. — Któż wciągnie je na górę po deskach?

— I jak je ugotować? — zapytał Strączek. Dominika podniosła głowę.

— Ugotować można. Razem z groszkiem,

79

w kuchni Lucy. To nasze jajko: nie będzie mogła powiedzieć ani słowa.

— Już jest ugotowane — wyjaśniła Ariet-ta. — Na twardo.

— Doskonale! — ucieszył się Strączek. — Oczyszczę żyłkę i będziemy odkrawać po

kawałeczku. A jakie wiadomości przynosisz? — zwrócił się do Arietty.

— Pogoda niezła — odpowiedziała dziewczynka. — Kiedy świeci słońce, jest nawet bardzo ciepło. Już pewno wiosna.

— Bardzo dobrze — zatarł ręce Strączek. — A o szparze mówiłaś?

— We drzwiach, na samym dole, jest otwór — Tom, jak wraca do domu z rękoma pełnymi szczap, kopie nogą we drzwi i z tego zrobiła się taka mała półokrągła szczyrba. Ale ten otwór został zabity deseczką, żeby myszy polne nie mogły się tamtędy zakradać. W deseczce tkwiły dwa gwoździe — po jednym z każdej strony. Oto właśnie jeden z nich — i Arietta z triumfem pokazała gwoździ, który z sobą przyniosła. — Tom powiedział, że wystarczy tylko unieść tę deseczkę na jednym gwoździu, żeby można było pod nią przejść. Niech wuj Henryk albo któryś z kuzynów, jak nas już nie będzie, przybije ten kawałek drewna z powrotem.

— Dobrze — powiedział Strączek, zadowolony. — Bardzo dobrze. Oni też chyba nie zechcą,

80

k4L 9

żeby złożyły się tu myszy polne. A Tom nie mówił ci, kiedy wyjeżdża?

— Powiedział, że za dwa, trzy dni. Jutro lub pojutrze. Ale tej swojej łasiczki wciąż jeszcze nie znalazł.

— No, to dobrze — raz jeszcze rzekł Strączek, sprawa łasiczki nie interesowała go wcale. — A teraz wymknijmy się po cichutku na dół i zabierzmy tę żywność, żeby jej ktoś nam sprzed nosa nie sprzątnął.

Tak też zrobili: przynieśli z dołu chleb i ser, i pieczone kasztany — jajko postanowili jednak zostawić.

— Takie duże jajko starczy nam na długo — rzekł Strączek — a przy tym jest porządnie, czyściutko opakowane w tej skorupce. Zabierzemy je z sobą, ale w całości, nie rozbijając skorupki.

Potoczyli więc jajko przed sobą aż do ciemnego kąta pod ścianą, tam gdzie leżała kupka wiórów.

— Tu może czekać — oświadczył Strączek.

6 —

gawiraro^{^^}

7, #MMimmif//iMititoiiliMtiimii\i\\m*\\\\&

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tego dnia, kiedy chłopiec i jego dziadek wyjeżdżali, Pożyczalscy zachowywali się jak tru-sie. Siedzieli wszyscy razem przy stole i słyszeli trzaskanie, hukanie i odgłosy kroków ludzkich nad głowami.

Dochodziły do nich szmery, których nigdy dotychczas nie słyszeli, i dźwięki, których nazwy nie znali.

Słuchali z zapartym tchem długo jeszcze po tym, jak zatrzasnęły się drzwi frontowe i w mieszkaniu nad nimi zapanowała głucha cisza.

— Nigdy nic nie wiadomo — szepnął Henryk do Strączka. — Oni mogą jeszcze wrócić... może czegoś zapomnieli?

Po jakimś czasie, gdy cisza trwała niezmącona, Strączek uznał wreszcie, że tam już na pewno nikogo nie ma.

— Chyba to już koniec — odważył się powiedzieć. — Gdyby tak ktoś z nas zaryzykował... i udał się na rekonesans?

— Ja pójdę — zaofiarował się Henryk, zrywając się na równe nogi. — Niech żadne z was

82

i« 9

się nie rusza, dopóki nie dam znaku. Czekać na mnie!

Czekali więc w milczeniu. Dominika patrzyła na trzy skromniutkie tobołki, przywiązane sznurkiem do szpilki od kapelusza i leżące przy drzwiach. Lucy pożyczyła Dominice moleskino-wy żakiet — dla niej zrobił się za ciasny, za bardzo się roztyła. Egglecina, smukła, gibka, marzycielska Egglecina, podarowała swój szal Ariet-cie; owinęła nim trzykrotnie jej szyję, nie mówiąc przy tym ani słowa.

Któregoś dnia, gdy stosunki między Lucy a Dominiką nie były tak bardzo napięte, Dominika odważyła się zapytać wprost:

— Czy twoja córka w ogóle umie mówić?

— Qdzywa się bardzo rzadko — odparła Lucy z westchnieniem. — A nie uśmiecha się nigdy. Taka już jest od lat, od czasu, kiedy jako mała dziewczynka wyszła z domu i wróciła po dłuższym czasie bardzo wystraszona.

Po kilku minutach zjawił się Henryk, mówiąc:

— Nie ma nikogo. Ale zabierzcie z sobą świece. Jest już całkiem ciemno.

Jedno za drugim zeszli po drabinie na dół, starając się nie robić najmniejszego hałasu. Pudło od klocków było odsunięte daleko od dziury, wbiegli więc bez przeszkód do pokoju — który wydał im się ogromny, pusty i przeraźliwie cichy, ale szybko się z tym oswoili: mogli robić tu, co chcieli. Duże okno było zamknięte i za-

6»

83

słonięte okiennicami, tak jak to Strączek przewidział, ale w mniejszym okienku, umieszczonym nisko tuż

nad podłogą, jaśniał blady odbłask zachodzącego słońca.

Mali kuzynowie Arietty wpadli w istny szal: biegali i dokazywali na ciemnej przestrzeni pomiędzy nóżkami krzesel, wślizgli się do zagłębienia pod blatem stołu, z którego zwisała pajęczyna, tańczyli w świetle łójówek. Dokonywali zadziwiających odkryć i znajdowali pod dywanikiem, w szparach między deskami podłogi, pomiędzy żużlami paleniska w kominku takie bezcenne skarby, jak haftka bez konika, szpilki i zapalniczki, guzik, stara spinka do kołnierzyka, czarna moneta, koralik, kawałek grafitu ze złamanego ołówka. (Na ten grafit Arietta rzuciła się zachłannie i szybko schowała go do kieszeni fartuszka; przestała prowadzić swój dzienniczek, musiała zostawić go razem z innymi rzeczami, ale nigdy nie wiadomo, co się jeszcze może zdarzyć...)

Nareszcie Pożyczalscy poczuł się w swoim żywiole: małe świece postawił na podłodze, a sami zaczęli wspinać się i przeskakiwać z miejsca na miejsce, po trosze dla gimnastyki, a po trosze w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby im się przydać. W tych harcach nie brała udziału tylko Lucy: za gruba była i zanadto ociężała. Strącek i Dominika stali na czatach — na wszelki wypadek! — przy drzwiach. Henryk umyślił sobie, by zajrzeć do kieszeni płaszcza wiszącego na

84

,* 9

c?2^^^L>

haku, i próbował wdrapać się po jego fałdach, ale nie miał takiej wrodzonej zwinności co Strącek, zawisł więc, uczepiwszy się guzika na rękawie, i tak wisiał głośno sapiąc i wymachując nogami w powietrzu, dopóki nie przyszedł mu z pomocą najstarszy syn.

— Powinien był zacząć w inny sposób — szepnął cicho Strącek do Dominiki. — Najlepiej wspinać się po guzikach jak po drabinie, zgarnąć materiał w fałdy i przyciągnąć kieszeń do siebie. Nie należy nigdy zaczynać wprost od kieszeni...

Umilkł, gdyż Henryk zbliżał się do nich.

— Chodźmy zobaczyć, jak wygląda ten otwór w drzwiach — zaproponował.

Zawołał swoich dwóch starszych synów i we trzech wzięli się z rozmachem do podważania deszczułki, zasłaniającej dziurę.

— Raz, dwa, trzy — i hooop! — zakomenderował Henryk.

Wyłożyli wszystkie siły i ruszyli w trójkę jednocześnie do ataku. Deszczka zakotuszyła się, dokonała półobrotu wokół gwoźdźca i zawisła, odsłaniając łukowaty otwór.

Strącek sięgnął po swoją świeczkę i wyrzucił na zewnątrz: zobaczył przed sobą trawę i kamienie, przed oczyma mignął mu jeszcze jakiś cień, gdy zimny powiew omal nie zgasił świeczki. Ostronił płomień dłonią i wyrzucił jeszcze raz.

Si

— Szybciej, Strączku! — szepnęła Dominika. — Deseczka za chwilę opadnie!

Teraz Strączek zobaczył już nie tylko trawę i kamienie, lecz gorejące wśród ciemności dwa punkciki, jakby dwie rozżarzone szpilki, znieru-v chomią i groźne.

— Zasuńcie deseczkę! — wymamrotał, prawie bezgłośnie poruszając drżącymi wargami.

— Szybko! — dorzucił, z trudem łapiąc oddech. — Nie słyszycie dzwoneczka?

Stał bez ruchu, jak wrośnięty w ziemię, ze świeczką w sztywno wyciągniętej ręce.

Deszczułka klapnęła spadając, a Strączek zapytał szeptem Dominikę:

•— Widziałas?

Odstawił świeczkę i otarł spocone czoło rękawem, wciąż jeszcze ciężko dysząc.

— Czy widziałam? — jęknęła Dominika. — Jeszcze chwila, a byłaby tutaj!

Mały Tymuś rozplakał się głośno, a Arietta podbiegła do niego.

— Uspokój się, już sobie poszła. I nie trzeba się bać, to łasiczka, dobra, oswojona łasiczka. Chodź, opowiem ci bajkę.

Zaprowadziła go pod pulpit, obok którego leżała na podłodze księga buchalteryjna, zrzucona widocznie w pośpiechu, tak że jej twarda płócienna okładka stanęła pod kątem rozwartym, tworząc jak gdyby namiot. Wsunęli się oboje

87

z Tymusiem pod ten namiot i poczuł się tu jak w zacisznym kąciku.

— Co to było? — zainteresowała się Lucy, która stała z daleka i nic nie widziała.

— Podobno... podobno łasica — wyjąkał Strączek. — Wiem, Arietta mówiła, że gdzieś się zawieruszyła. Tom podobno jej szukał. Teraz pewno wróciła... a my... my musimy poszukać sobie innego wyjścia... Ale nie dziś! Za bardzo jestem zmęczony.

Lucy stała przy kominku; popiół w palenisku był wciąż jeszcze ciepły. Gdy usłyszała słowa Strączka, usiadła na pustym pudełku od zapalek, które wydało pod jej ciężarem złowróżbny trzask.

— Wróciła... jest tu gdzieś blisko... — powtórzyła mdlejącym głosem i przymknęła oczy jak przed straszliwą wizją.

Zaczęła wachlować się dłonią, aż garstka popiołu wzbiła się w górę i zakłębiła nad jej głową.

— Masz rację, Strączku — powiedział Henryk. — To niemożliwe.

— Co? — zapytał Strączek.

— Trzeba będzie odłożyć waszą wyprowadzkę — mówił dalej Henryk. — Dopóki ta łasiczka stąd sobie nie pójdzie... mowy nie ma!

— Tak... — rzekł Strączek i milczał dłuższą chwilę. — Musimy zmienić plany, zastanowić się, obmyślić wszystko od nowa.

Rzucił okiem na duże okno zasłonięte okien-

88

nicami i pokiwał głową, wielce zatroskany. Przeniósł wzrok na małe okienko, umieszczone w ścianie tuż nad podłogą, i przesunął ręką po czole: okienko było wprawdzie oszklone i przepuszczało przez szybki światło, ale nie otwierało się wcale; nigdzie nie było widać najmniejszej szczeliny. A więc i ta możliwość odpadła.

— Zajrzyjmy do pralni — zaproponował. Drzwi na szczęście były uchylone i Strączek,

ze świeczką w ręku, wszedł odważnie, a za nim wsunęli się Henryk i Dominika. Arietta była także ciekawa, jak wygląda pralnia; interesował ją zresztą każdy kącik w tym wielkim gmachu, który po wyjeździe Ludzi mieli całkowicie do swojej dyspozycji. Podłogę w pralni pokrywały kamienne płyty. W jednym kącie mieściła się kuchnia z paleniskiem, w drugim stał ręczny magiel, a w trzecim — duży kocioł do gotowania bielizny. Przy ścianie pod oknem wmurowany był zlew. Zamknięte okno nad zlewem znajdowało się wysoko, drzwi, prowadzące na zewnątrz, były zaryglowane na dwie zasuwki, a od dołu okute blachą.

— Nie, tędy nie wyjdziecie — stwierdził Henryk.

— Tędy nie wyjdziemy — powtórzył Strączek z westchnieniem.

Tymczasem Lucy odzyskała siły i wstała z pudełka od zapalek, pozostawiając je przechylone nieco na ukos. Otrzeptała się z kurzu i zebrawszy

89

z podłogi narzędzia Pożyczalskich, wybierała się z powrotem na górę.

— Chodźcie, dzieciaki — zwoływała swoje pociechy. — Jest już bardzo późno, a jutro także będzie przecież dzień... Henryku, idziemy na górę! Muszę przygotować dla nas kolację!

Henryk i Strączek wrócili z pralni do pokoju.

— Idziesz na górę? — zapytał Henryk. Lucy uśmiechnęła się męczeńsko.

— Jestem taka znużona... Moje nerwy! Ta łasica... i w ogóle, tyle wrażeń... to wszystko...

Henryk zwrócił się do Strączka:

— Idziecie z nami?

A widząc, że Strączek się waha, rzekł do Lucy surowo:

— Oni także mieli ciężki dzień... A dziś wieczorem nie będą mogli jeszcze wyjść.

— Ach, tak?... — zawołała Lucy, niezbyt mile zaskoczona.

— Co jest dziś na kolację? — zapytał Henryk rzeczowo.

— Sześć gotowanych kasztanów i... — Lucy dodała po chwili wahania — wędzone płotki, po jednej dla ciebie i chłopców.

— Wobec tego musimy sięgnąć do naszych zapasów — zdecydował Henryk.

Lucy ociągała się wyraźnie z odpowiedzią i ta przedłużająca się pauza stawała się dla wszystkich nader kłopotliwa.

— Dlaczegoż by nie... oczywiście... — zaczęła

9*

kfe 9

nieskładnie, lecz Dominika przerwała jej energicznie:

— Dziękuję ci, Lucy, bardzo to uprzejmie z twojej strony, ale my mamy swoje własne trzy kasztany, już upieczone. I jajko.

y- Jajko? — powtórzyła Lucy, zdumiona. — Jakie jajko?

— Kurze.

— Jajko od kury? — zapytała raz jeszcze Lucy, jak gdyby kura to był pterodaktyl czy może bajeczny ptak feniks. — Skąd wy je macie?

— Dostaliśmy w prezencie — odpowiedziała Dominika wymijająco.

— Ale możemy posiedzieć z wami przy stole — rzekł Strączek pojednawczo — o ile to wam ifte będzie przeszkadzało.

— Prosimy bardzo — rzekła Lucy grzecznie, choć chłodno.

Wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć ze zdumienia: jajko od kury... w prezencie!

— Tymek... chodź tu! — zawołała małego. Zanim pozbiali się wszyscy, minął jakiś czas.

Jeszcze przy wspinaniu się po drabinie trwały wzajemne nawoływania, śmiechy i chichoty.

— Idźcie po drabinie każde z osobna... nie pchajcie się... uważajcie! — upominała Lucy swoje dzieci. — Ostrożnie, ostrożnie, moje gołąbeczki!

Wśród pisków, śmiechów i stłumionych okrzyków dotarli wreszcie do mieszkania.

91

„Nasze głosy muszą wydawać się Ludziom podobne do chrobotania myszy” — pomyślała Arietta.

W końcu wszystko ucichło. Nareszcie zostali sami, tylko we troje.

Z kuchni Henryków dobiegał gwar rozmów. Cała rodzina siedziała już przy kolacji.

, i i

smraMM^^

v//////////;/;///il(/t/l^^

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— I oto znaleźliśmy się między młotem a kowadłem — rzekł Strączek z bladym uśmiechem, cytując przysłowie z „Księgi Przysłów” Arietty.

Siedzieli wszyscy troje przy kominku, w którym płaskie kamienie paleniska były jeszcze ciepłe. Żelazna szufelka wciąż zbyt gorąca, ażeby można było na niej usiąść, leżała w popiele. Dominika przysunęła sobie pudełko od zapalek i rozsiała się na nim wygodnie; chociaż było trochę zgniecione, z łatwością utrzymywało jej niewielki ciężar. Strączek i Arietta usadowili się na podłużnym jak laseczka, wypalonym węgielku; trzy małe łójówki ledwo oświetlały obszerny pokój, tak że po kątach zalegały gęste cienie; z mieszkania Henryków dobiegał tu przytłumiony gwar głosów. Zadowoleni z tej ciszy i ciepła, siedzieli w milczeniu.

Po krótkim czasie jednakże ciszę przerwał głośny dźwięk dzwoneczka — jak gdyby zbliżający się coraz bardziej — potem coś zachrobotać, a w końcu dało się słyszeć coś pośredniego mię-

93

dzy sapaniem a prychnaniem. Wszyscy troje utkwili rozszerzone ze strachu oczy w drzwiach pograżonych w cieniu.

— Nie przyjdzie tu?... — wyszeptała Dominika. — Prawda, że nie przyjdzie?... Powiedźcie!

— Na pewno nie — odparł Strączek. — Niech sobie drapie w drzwi... nam tu nic nie grozi!

Jednocześnie Arietta rzuciła badawcze spojrzenie w głąb kominka: płaskie kamienie tworzące tylną ścianę paleniska nadawały się — w najgorszym razie! — do wspinania w górę. Nagle dostrzegła u samego wylotu, wysoko, wysoko nad głową, kwadrat fioletowego nieba i jedną jedyną gwiazdę na nim, i widok ten sprawił, że nie wiadomo dlaczego poczuła się uspokojona.

- Nasza sytuacja nie jest łatwa — rzekł Strączek w zamyśleniu — ani wyjść, ani zostać.
- Ani wyjść, ani zostać — powtórzyła jak echo Dominika, zgnębiona.
- A gdybyśmy tak — zaproponowała Arietta — spróbowali wdrapać się przez komin na dach?
- I co potem? — spytał Strączek.
- Tego nie wiem — odpowiedziała Arietta.
- Co by nam z tego przyszło? — zapytał Strączek z powątpiewaniem.
- Co by nam z tego przyszło — powtórzyła znów jak echo Dominika. — Nawet gdyby udało się nam wdrapać przez komin na dach... w co zresztą nie bardzo wierzę!

94

ite 9

Przez kilka chwil panowało milczenie — aż w końcu Strączek zaczął uroczyście:

- Dominiko, nie pozostało nam nic innego, jak...
- Jak co? — zapytała Domiuika, podnosząc ku niemu głowę.

Twarz jej, oświetlona od dołu, wydawała się dziwnie kanciasta, a w paru miejscach widniały czarne plamy: zapewne usmoliła się węglem. Arietta zaś, przeczuwając, na co się zanosí, splotła ręce na kolanach i czekała, z oczyma utkwionymi w szufelce rzuconej na skos paleniska.

- Musimy schować w kieszeń ambicję i... — zaczął Strączek i urwał.
- I co? — zapytała Dominika, choć domyślała się, co Strączek chce powiedzieć.
- Musimy pójść do Henryka i Lucy i powiedzieć im otwarcie... poprosić, żeby pozwolili nam jeszcze jakiś czas zostać.

Dominika ukryła twarz w swych wychudłych dłoniach.

- Ze względu na nasze dziecko... — szepnął Strączek tonem łagodnej perswazji.

Dominika odjęła ręce od twarzy i powiodła tragicznym wzrokiem dookoła.

- Parę ziarenek suszonego groszku... — mówił dalej Strączek wciąż tym samym tonem. — Niech nam dadzą trochę wody do picia i parę ziarenek suszonego groszku... nic więcej nam nie trzeba!

95

Dominika wciąż jeszcze milczała.

- I powiemy im, że mogą zatrzymać nasze meble, na jak długo zechcą — mówił dalej Strączek.
- Niech mają je pod swoją opieką.

Dominika poruszyła się wreszcie.

- Meble zatrzymają i tak — odparła schrypniętym głosem. — Już od dawna się nimi „opiekują”...
- No, więc jak? — zapytał Strączek po chwili, wpatrując się błagalnie w jej oczy.

Dominika rozejrzała się po pokoju, omiotła go wzrokiem od sufitu do podłogi. W chwilę później pokiwała kilka razy głową na znak niemej rezygnacji.

- Mamy iść do nich, od razu, teraz? — zapytała dramatycznym głosem. — Siedzą pewno jeszcze przy kolacji.
- Byłoby najlepiej — rzekł Strączek, wyciągając do niej rękę, ażeby pomóc jej wstać.

I siłąc się na wesołość, zawołał:

- No, chodź, moja stara!

Dominika podniosła się powoli, a Strączek wciąż trzymając ją za rękę, wyciągnął się na całą wysokość swoich pięciu cali i powiedział do Arietty z godnością:

- Znam dwa rodzaje odwagi... może istnieje ich więcej, ale ja znam tylko dwa. I w jednym, i w drugim wypadku twoja matka jest bohaterką. Zapamiętaj to sobie, moje dziecko, albo jeszcze lepiej: zapisz to w tym swoim dzienniczku.

96

> i i

7 —

Lecz Arietta nic nie odpowiedziała: poblądła, wpatrywała się rozszerzonymi ze strachu oczyma w zaciemniony kąt w pobliżu pudła od klocków.

- Coś tam się rusza... — wyszeptała w końcu. Strączek odwrócił się i skierował wzrok w tę samą stronę.
- Co takiego? — zapytał ostro.
- Coś włochatego...

Zamarli wszyscy troje w bezruchu. Ale po chwili Dominika wyrwała się Strączkowi i z rozpostartymi ramionami pobięła przed siebie, w kierunku pudła od klocków, śmiejąc się i płacząc na przemian.

- Chłopcze... drogi chłopcze... Dobry chłopiec! Zaczne stworzenie!

— Spiller! — zawołała Arietta uradowana. Pobiegła w jego stronę, wyprowadziła Spillera

z cienia i popchnęła go lekko w kierunku paleniska. Ciepły blask łójówek padł na jego mole-skinową kurtkę, dobrze już znoszoną, postrzępioną u dołu i wytartą na łokciach. Jego bose nogi były czarne od błota. Wydawał się teraz wyższy, jakby trochę urósł. Włosy miał jak zwykle porządnie zmierzwiłone, a policzki jak zawsze ogorzałe od przebywania na słońcu i wietrze.

Nikt nie myślał nawet pytać go, skąd się tu wziął. Był — to wystarczyło. Spiller, jak zdawało się Ariettcie, miał dar materializowania się z powietrza i równie niepojęty dar rozplywania się w powietrzu.

98

L« •

— Ach, Spiller! — z trudem łapiąc oddech zawołała Dominika (ona, która dawniej tak bardzo nie lubiła Spillera!). — W samą porę... zjawiłeś się w samą porę!...

Usiadła na spalonym węgielku, spod którego wzbity się tumany popiołu, i rozplakała się z radości.

— I ja się cieszę, że cię widzę, Spiller — rzekł Strączek, uśmiechając się do niego. — Przyszedeś pewno po swoje letnie ubranie?

Spiller skinął głową potakująco. Rozejrzał się po pokoju, zauważył tobołki przymocowane sznurkiem do szpilki od kapelusza, spostrzegł, iż pudło od klocków jest daleko odsunięte od ściany, a meble w całym pokoju jakoś inaczej usta-wiołowe, i domyślił się od razu, że Ludzie wyjechali.

Ale nie zrobił żadnej uwagi na głos: był podobnie jak Strączek chłopskiego pochodzenia — a tacy nie są skorzy do rozmów czy komentarzy. Postawieni w obliczu faktów czy okoliczności choćby najbardziej zadziwiających, umieją panować nad sobą, nie reagować zbyt żywiołowo i spokojnie czekać na odpowiednią chwilę.

— Dowiedziałem się przypadkowo — mówił dalej Strączek — że twoje ubranie jeszcze nie jest gotowe. Kurtka już jest zreperowana, ale spodnie dopiero w robocie.

Spiller znów przytaknął ruchem głowy. Poszukał oczyma Arietty, ona zaś, onieśmielona, wsty-

99

dząc się pierwszego wybuchu radości, ukryła się w cieniu szufelki.

— Widzisz — zaczął Strączek, rozglądając się dookoła, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z powagi sytuacji — zastaeś nas w momencie... jak by to powiedzieć... dla nas przełomowym...

— Wyprowadzacie się? — zapytał Spiller.

— Jeśli tak to można nazwać — odparł Strączek.

Dominika otarła oczy rąbkiem fartuszka i zaczęła poprawiać fryzurę, upinając włosy na czubku głowy, a

Strączek, spokojnie, w kilkunastu prostych słowach, raczej nie wyolbrzymiając całej historii, opowiedział Spillerowi, co przez ten czas zaszło. Spiller wysłuchał, z jedną brwią uniesioną w górę, a kąciki jego ust opadły drwiąco ku dołowi. Ten szyderczy grymas, o ile Arietta pamięta, Spiller miał zawsze, bez względu na to, z kim i o czym rozmawiał.

— Teraz więc wiesz już — zakończył Strączek — jaka jest nasza sytuacja.

Spiller pokiwał głową w zamyśleniu.

— Musi być porządnie głodna ta łasiczka — dodał Strączek po chwili. — Biedne stworzenie! Mając dzwonek przy szyi nie może polować na króliki: usłyszą i w mgnieniu oka czmychają. My mamy krótkie nogi, nas dogoni z łatwością — z dzwonkiem czy bez dzwonka.

— Odczepię jej ten dzwonek, mnie nic nie zro-

iee

i« 9

bi, znam ją dobrze — powiedział mimochodem Spiller.

— Ala jaką drogą tyś się tu dostał? — przypomniał sobie nagle Strączek.

— Jak zwykle — odparł Spiller.

— Co to znaczy, jak zwykle?

Spiller odrzucił głowę w bok i wskazał na pralnię.

— Przez spust, oczywiście — odparł.

•i*MmmmmiInmłimtimim\\i\\m*\\s*

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Spust? Jaki spust? — zainteresowała się Dominika.

— Ten w podłodze — odpowiedział Spiller z taką miną, jak gdyby Dominika powinna była sama to wiedzieć. — Zlew zepsuty — kolanko wykrzywione — dodał po chwili.

— Nie widziałem żadnego spustu w podłodze — rzekł Strączek.

— Bo jest pod magłem — wyjaśnił Strączek.

— To ty zawsze przychodzisz tą drogą? — zapytała Dominika.

— I wracam — odpowiedział Spiller, jak zwykle lakonicznie.

— Pod ziemią — rzekł Strączek — może się nie bać złej pogody.

- Ani zwierząt z lasu — dodała Dominika.
- Racja — zgodził się Spiller. — Ani niepogody, ani zwierząt.
- A w którym miejscu kończy się ten spust? — zapytał Strączek.
- Koło czajnika — odparł Spiller.

102

- Jakiego czajnika?
- On ma swój czajnik — wtrąciła żywo Arietta. — Ten czajnik przypląnął do niego z nurtem rzeki...
- Tak jest — przyświadczył Spiller. Strączek był czegoś zamyślony. Po chwili zapytał:
- A czy Henryk — albo Lucy — ktoś z nich wie o tym spuszcie?

Spiller potrząsnął głową przecząco.

- Nie sędzę. Nikomu nie mówiłem. Strączek zapytał:
- A czy z tego spustu może korzystać... każdy?
- 7 Dlaczegoż by nie? — odparł Spiller, a po chwili zapytał: — Co zamierzacie?
- Jeszcze nie wiemy — odparł Strączek. Spiller skrzywił się i podrapał w kolano, na

którym warstwa czarnego błota wyschła w cieple bijącym od paleniska i przeobraziła się w ciemnoszary pył.

- Chcielibyście przenieść się do miasteczka? — zapytał.
- Jakiego? — zapytali Dominika i Strączek jednocześnie.
- Na przykład — do Małego Potoku. Gdyby Spiller zaproponował im wyprawę na księżyc, byłiby niemniej zaskoczeni. Arietta nie odzywała się ani słowem — siedziała cichutko,

103

z zapartym tchem. Strączek rozmyślał z natężeniem.

- A więc to miasteczko naprawdę istnieje? — zapytał z wolna.
- Rozumie się, że istnieje — pośpieszyła z odpowiedzią Dominika. — Każde dziecko wie. Nie wiadomo tylko dokładnie — gdzie. I bardzo wątpię, czy i Spillerowi wiadomo.
- Trzeba by płynąć dwa dni w dół rzeki — rzekł Spiller. — Z prądem.

- Płynąć? — zaniepokoiła się Dominika. — Jak to: płynąć? Kto wytrzyma dwa dni w wodzie?
- Mam czółno — objaśnił krótko Spiller.
- Och, moi drodzy... — jęknęła Dominika.
- Duże? — poinformował się Strączek.
- Spore — odparł Spiller.
- Może zabrać więcej osób?
- Może — odpowiedział Spiller.
- Och, moi drodzy... — jęknęła znów Dominika.
- Czego się boisz, Dominiko? — zwrócił się do niej Strączek.
- Nie wyobrażam sobie siebie... w czółnie — wymamrotała Dominika. — Ani w wodzie, ani na wodzie.
- Nie, na wodzie czółno jest do niczego — odpowiedział spokojnie Strączek. — A kto nic nie ryzykuje, ten nic nie ma. Tak już jest. Musimy przecież coś znaleźć, żeby żyć.

104

- A czy nie można by raczej iść... pieszo? — wyjąkała Dominika. — Może jednak znalazłoby się coś bliżej, na lądzie?
- Na przykład — co?
- No, na przykład... — bąknęła Dominika, rzucając z ukosa szybkie spojrzenie na Spille-ra — ...można by zamieszkać w tym jego... czajniku.
- W czajniku nie byłoby wygodnie — rzekł Strączek.
- Wygodniej niż w czółnie — odparła Dominika.
- Słuchaj, Dominiko — zaczął Strączek z nagłym przypiływem energii. — Człabyś się nieszczęśliwa, dwudziestu czterech godzin nie wytrzymałabyś w czajniku. A potem zaczęłabyś mnie męczyć dzień i noc, ażebyśmy jak najprędzej przeprawili się do tego Małego Potoku. Masz przed sobą szansę mieszkania w dobrych warunkach, masz przed sobą wolną drogę, a ty się kurczowo bronisz przed wypłynięciem na czystą, wartką wodę. Czy to rozsądne, powiedz sama?

Zamiast odpowiedzi Dominika zasypała pytaniami Spillera:

- Jak wygląda to czółno? Do czego podobne? Z czego zrobione? Mów!

Spiller zastanawiał się chwilę.

- Drewniane — rzekł krótko.
- A do czego podobne? Spiller zastanawiał się chwilę.

105

- Do pudła... drewnianego.
- Wygląda jak pudło?
- Jak pudło.
- To chyba — odgadła Dominika z triumfalnym uśmiechem — jest drewniane pudło.

Spiller skinął głową.

- Tak — przyznał.
- Do czego służy?
- Do sztuców.
- A dno ma płaskie? — zapytał Strączek fachowo.
- Z przegródkami na łyżki, widelce i noże? — dopytywała się Dominika.
- Tak — odpowiedział Spiller, jednocześnie na pytania obojga.
- A szpary: woskowane czy smołowane? — znów fachowo zapytał Strączek.
- Woskowane — odparł Spiller.
- Wszystko to razem brzmi zachęcająco — ocenił Strączek. — A ty jak sądzisz, Dominiko?

Poznał po jej minie, że uspokoiła się trochę, ale jeszcze nie całkiem jest zdecydowana.

- A przy pomocy jakiej energii porusza się to czołno? — zapytał znów Strączek tonem fachowca.
- Energii? — zdziwił się Spiller.
- No, co tam jest... żagiel? A może motor? Spiller potrząsnął głową przecząco.
- Nie. Jak naładowane, to zwyczajnie, na spych, z prądem.

106

- Rozumiem — rzekł Strączek i zamyślił się na chwilę. — A ty często udajesz się do Małego Potoku?

- Co jakiś czas — odparł Spiller. — Muszę wpierw załadować.
- Co załadować? — zapytała Dominika szybko.
- Ano to czółno.
- Ale czym? — dopytywała się Dominika.
- Dajże spokój, Dominiko — wtrącił się Strączek. — To już jego sprawa. Nie nasza rzecz.
- A ja się domyślam — odezwała się Dominika. — Orzechy, jaja ptasie, mięso, rybki... to wszystko, co przywozisz dla Lucy?
- Przywożę to, o co prosi — mruknął Spiller.
- A o co prosi? — spytała Dominika.
- Dajże spokój, Dominiko — upomniał ją Strączek. — Spiller jest dostawcą, ma swoich klientów. Wszystko w porządku. Nie jesteśmy jedynymi Pożyczalskimi na świecie. Jest nas więcej...
- Ale ci, co mieszkają w Małym Potoku — zainteresowała się Dominika — to nie Pożyczal-scy, prawda? Podobno to jakieś figurki gipsowe — czy tak?
- Woskowe, malowane — wyjaśnił Spiller. — Wszystkie takie same. Manekiny.
- Wcale mi się to nie podoba — oświadczyła Dominika. — Nie chcę mieszkać w jednym domu

107

z jakimiś woskowymi manekinami czy jak się tam zwą!

- Domów jest dużo — wtrącił Spiller. — Można znaleźć pusty.
- No, widzisz — ucieszył się Strączek.
- To świetnie! — rozchmurzyła się Dominika. — Znajdziemy sobie mieszkanie... najlepiej blisko sklepów!
- Ale przecież w sklepach, jak słyszałem, nic nie ma — tłumaczył jej Strączek cierpliwie — a jeśli nawet leżą na wystawie jakieś owoce, to także tylko imitacje z gipsu.
- Ale to tak ładnie brzmi: „Mieszkam tuż obok sklepu” — mówiła Dominika rozmarzona. — Gdyby tak powiedzieć Lucy...
- Przecież Lucy nie będzie wiedziała, gdzie jesteśmy — odparł Strączek. — Obudzi się jutro rano i dopiero jak zawoła nas na śniadanie, dowie się, że nas już nie ma. Nie, moja kochana — mówił dalej Strączek poważnie — najlepiej byłoby wyszukać jakiś cichy domek nad wodą. Spiller będzie dowoził

nam żywność. Zresztą, po co zastanawiać się nad tym już teraz? Jak znajdziemy się na miejscu, będziemy mieli dość czasu, ażeby wybrać coś najlepszego...

— Ażeby wybrać coś najlepszego — powtórzyła jak echo Dominika, olśniona takimi rozległymi widokami na przyszłość, i aż klasnęła w dłonie w przypiływie nagłej radości. — Ach, Strączku... pomyśl — tam jest tyle, tyle dom-

108

ków... Będziemy mogli wypróbować wszystkie, ile ich jest, jeden za drugim! Któż nam zabroni?

— Zdrowy rozsądek — uciął krótko Strączek i po chwili zwrócił się z uśmiechem do Ariet-ty: — A ty co powiesz, mała? Gdzie wolałabyś mieszkać: bliżej sklepów czy bliżej wody?

Arietta odchrząknęła, zanim odpowiedziała:

— Nad wodą... oczywiście.

Oczy jej błyszczały, a migotliwe światło łójów-ki rzucało ruchliwe blaski i cienie na jej twarzyczkę.

— Przynajmniej... na początku — dodała szeptem.

Po krótkiej pauzie Strączek rzekł:

— No, komu w drogę, temu czas. Co ty na to, Spftler? Czy mógłbyś pokazać, jak wygląda ten spust?

— Jak to? — przeraziła się Dominika. — To Spiller nie wyruszy razem z nami?

— Ależ, Dominiko — rzekł Strączek z wyrzutem — zrozum, Spiller jest zmęczony, dopiero co przepłynął taki szmat drogi — z pewnością nie chce tak od razu wracać!

— On nie ma na co czekać. Jego ubranie nie jest jeszcze połatane, a przecież po to przyjechał... prawda, Spiller?

— Nie tylko po to — odpowiedział zamiast niego Strączek. — Na pewno przywiózł także coś niecoś dla Lucy.

— Tak jest — rzekł Spiller. — Ale ja mogę

109

to wszystko wyspać na pomost. Przed ich mieszkaniem.

— I pojedziesz z nami? — ucieszyła się Dominika.

Spiller skinął głową.

— Mogę pojechać.

Strączek także był szczerze uradowany.

— To ładnie z twojej strony, Spiller — rzekł. — Bardzo ładnie, naprawdę!

I zwrócił się do Arietty:

— A ty, dziecko, weź świeczkę i przetocz jajko.

— Och, nie będziemy zawracali sobie głowy jajkiem! — zaprotestowała Dominika.

Strączek spojrzał na nią z wyrzutem.

— Idź, Arietto, i przetocz jajko — powtórzył stanowczo. — Poturlaj je przed sobą, uważaj tylko na świeczkę, żebyś nie zaproszyła ognia, pełno wiórków na ziemi. Dominika, weź tamte dwie świece, a ja zabiorę nasze tobołki... i w drogę!

^%»mui//Ji)ii////) h)om/;;;^^ t|^|^* ^^vyi w///aw^

Y}////////{ }////////lf!ll(/ll)(ll'll/Jitiin^l[H[[u u tniuiuuw

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ledwo znaleźli się na kamiennych płytach pralni, gdy znów usłyszeli podejrzany szelest. Gdzieś w pobliżu skrobała łasica, ale dzwonka nie było już słychać. Dominika tym razem zachowywała się dzielnie. Czuła się bezpieczna, wiedząc, że niebawem stąd uciekną. Lecz gdy stanęli 'wszyscy czworo pod magłem i gdy Dominika spojrzała w dół, odwaga opuściła ją od razu.

— Och, moi drodzy... — wyszeptała swoim zwyczajem, wystraszona.

W podłodze ział głęboki ciemny otwór, podobny do studni. Kwadratowa krata, przykrywająca zazwyczaj szyb, teraz leżała odsunięta, a w czarnej głębi odbijał się blask ich świeczek. Wilgotny powiew rozwiewał płomyk łójówek, a z dołu uderzyła pomieszana woń mydła do prania, zwietrzałego chlorku i listków herbacianych.

— A co tam jest na dnie? — zapytała Dominika, zaglądając w głąb szybu. — Woda?

— Nie — odparł Spiller — szlam.

— Resztki mydła — wtrącił szybko Strączek.

111

— I my mamy brodzić przez to? — zapytała Dominika.

— Tu nie jest głęboko — powiedział uspokajająco Spiller.

— Przecież to tylko boczne odgałęzienie — dodał Strączek, starając się, ażeby

głos jego brzmiał pogodnie.

Po chwili zwrócił się do Spillera:

— Zastanawia mnie, jak poradziłeś sobie z odsunięciem tej ciężkiej kraty.

Spiller pokazał, jak sobie poradził. Przechyliwszy łojówkę oświetlił coś, co wyglądało jak kawałek miedzianego pręta do firanek, było wydrążone w środku i sterczało na dnie szybu, lekko przechylone w bok. Krata, gdy leżała na swoim miejscu, opierała się na betonowej krawędzi. Spiller objaśnił, jak pchając ze wszystkich sił drążek, może podnieść jeden róg kraty — podobnie jak praczka, stawiając podpórkę, może podwyższyć sznur od bielizny. Potem przysuwa do drążka płaski kamień, żeby krata nie opadła, i po sznurku, przywiązany do jednej z poprzeczek, wdrapuje się na górę.

— Tu niegłęboko — wyjaśnił raz jeszcze. — Tylko dwie moje wysokości.

Na żelaznej poprzeczce kraty nie widać z góry węzła, a sznur, o ile nie jest w użyciu, zwisa w głąb szybu. Gdy Spiller chce odsunąć całą kratę — tak jak dziś na przykład — przeprowadza sznurek od kraty do zębatego koła i gwał-

112

I

townie pociąga je do dołu. Czasami krata przesuwana się lekko, a czasem opiera się brzegiem. W takich wypadkach Spiller ucieka się do pomocy niewielkiej, ale dość ciężkiej zasuwki; przywiązuje ją do końca sznurka przewleczonego przez koło, zawisa na niej i ostrym szarpnięciem ściąga w dół, powodując w ten sposób przesunięcie kraty.

— Bardzo, bardzo pomysłowe — pochwalił go Strączek.

Ze świeczką w ręku wcisnął się pod magiel, pomacał wilgotny sznurek, wreszcie popchnął kratę, jakby chciał zbadać jej wagę — przesunęła się z wolna po wyszlizganych kamiennych płytach podłogi.

— Łatwiej pchnąć niż podnieść — zauważył. Arietta spojrzała w górę i ujrzała na suficie

ruchome i skłócone, przesuwające się i cofające w migotliwym świetle łojówek, mgliste cienie kół, uchwytów, korb, wałków, szprych... jak gdyby ten wielki magiel, pod którym stali, czarodziejskim sposobem został wprowadzony w ruch.

Z boku, na podłodze, Arietta dostrzegła pewien przedmiot, który bez trudu rozpoznała: była to górna połowa aluminiowej mydelniczki, ta sama, którą kiedyś, zeszłego lata, płynęła w dół rzeki i w której Spiller zwykle udawał się na ryby. Była teraz naładowana po brzegi, przykryta kawałkiem zniszczonej skóry zwierzęcej — prawdopodobnie wyleniałym futerkiem szczura —

8— Pożyczalscy na wyspie

113

i przewiązana wzdłuż i wszerz poplątanym sznurkiem. Z dziury, wywierconej w jednej z- krawędzi mydelniczki, sterczał długi kawałek sznurka.

- Ciągnij ją za ten sznurek — wyjaśnił Spil-ler, widząc, że Arietta patrzy na tę jego łódź.
- Ale jak do niej wsiąść? — zafrasowała się Dominika, patrząc ze strachem w głąb szybu.
- Och, nic trudnego — rzekł Spiller.

I mówiąc to, pociągnął na sznurku łódź w kierunku drzwi.

- Nie bój się, Dominiko — uspokajał ją Strączek. — Poradzimy sobie!

Spiller zabrał się tymczasem do wyładunku. Ponieważ cały dom był pusty i pudło od klocków odsunięte od ściany, nie musiał zachowywać specjalnej ostrożności — zaczął wrzucać to wszystko, co przywiózł, przez otwór w boazerii.

Przez ten czas, kiedy go nie było, Strączek nakreślił plan działania.

- ...o ile Spiller się zgodzi — zakończył, udzielając kurtuazyjnie pierwszeństwa Spillero-wi.

Spiller zgodził się, oczywiście, czy też, ściślej mówiąc, nie oponował. Pusta mydelniczka została spuszczonej w dół: najpierw zrzućli do niej jajko, turlając je przed sobą aż do brzegu ścieku, tak jakby to była ogromna piłka nożna, a w ostatniej chwili Strączek dał mu potężnego kopniaka. Spadło do mydelniczki ze złowieszczym stuknięciem.

114

Nic się jednak nie stało, gdyż jajko było ugotowane na twardo.

Dominikę posadzono okraciem na śrubie i opuszczono na sznurze: nie obyło się przy tym bez licznych nerwowych jęków i wyrzekiwań. Jedną ręką Dominika uczepliła się kurczowo sznura, w drugiej trzymała zapaloną świeczkę. Gdy zsunęła się w końcu do mydelniczki, ta zachybotała się i omal nie wyróciła. Była to straszna chwila i Dominika krzyknęła przeraźliwie. Na szczęście, w decydującym momencie Spiller pociągnął za sznurek i „łódź” wróciła do równowagi. Dominika siedziała więc już spokojnie, mrucząc tylko coś do siebie, ze świeczką w ręku.

- Zmieszczą się dwie osoby — oznajmił Spiller.

Arietta, chociaż marzyła skrycie, ażeby móc skoczyć do łodzi, również została opuszczona na sznurze z taką samą troskliwością jak matka. Usiadła naprzeciwko Dominiki, a jajko, ustawione na sztorc, przedzielało je obie.

- Będziecie nam przyświecać — powiedział Strączek. — To jest wasze zadanie: macie siedzieć spokojnie i pilnować, żeby jajko się nie wyróciło, a świeczki nie zgasyły.

Mydelniczka znów zabalansowała niebezpiecznie, gdy Dominika — która nigdy nie lubiła podróżować, bo od razu robiło jej się słabo — chciała zamienić się miejscem z Ariettą.

116

— Trzymaj mocno sznurek! — błagała płaczliwie Spillera.

Arietta zaś śmiała się głośno, bo bawiło ją to kołysanie się mydelniczki.

— A teraz — uwaga! — ostrzegł Spiller, popuszczając nieco linkę.

Mydelniczka wpłynęła gładko pod łukowate sklepienie tunelu, połyskujące w blasku świeczek. Arietta wyciągnęła rękę i dotknęła palcem wilgotnego stropu: był ułożony z cegiełek.

— Nie ruszaj niczego — syknęła Dominika. — Oddychaj jak najciszej!

Arietta przechyliła się przez krawędź mydelniczki i przyświecając sobie świeczką, oznajmiała po kolei, co widzi w zamulonej wodzie.

— óść rybia... zakrętka od pasty do zębów... szpilka do włosów...

— Nie patrz tam nawet! — przestrzegała ją drżącym głosem Dominika.

— Szpilka do włosów może się przydać — odparła Arietta.

Dominika przymknęła oczy.

— Dobrze — rzekła, starając się opanować strach. — Weź ją szybko i wrzuć od razu na dno. I zaraz wytrzyj ręczki o mój fartuch.

— Potem będzie można umyć się w rzece — odpowiedziała Arietta.

Dominika skinęła głową w milczeniu. Arietta wstała i gdy uniosła się na palcach, ujrzała — ponad głową Dominiki — jakiś wielki

117

przedmiot, płynący z prądem. Były to ich tobołki, owinięte w pocięty rękaw nieprzemakalnego płaszcza i przytroczone sznurkiem do szpilki od kapelusza, rękaw spęczniał w wodzie i tobołki płynęły z głośnym chlupotem. Po chwili ukazał się Strączek, a za nim — Spiller. Brnęli z trudem w mule, sięgającym im najpierw do kostek, a potem, im dalej brodzili, do kolan i wyżej.

Zanim opuścili się do kanału, krata musiała wrócić na swoje miejsce. Spiller przesunął drążek w kąt szybu jednym zręcznym ruchem, powodując metaliczne klaśnięcie, które odbiło się echem w głębi tunelu. Dominika, wpatrzona w ciemności, jęknęła:

— Och, moi drodzy...

Poczuła się tak, jakby zatrzasnęły się za nią jakieś drzwi raz na zawsze.

— No — zawołał Strączek donośnym głosem — jesteście!

Dogonił mydelniczkę, oparł się ręką o jej krawędź i zakomenderował:

— Śmiało, naprzód! Teraz naprawdę ruszamy w drogę!

B^/////>y/0m^^^

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Spiller ciągnął mydelniczkę na linie holowniczej, a właściwie w tych okolicznościach lina nie tyle służyła do holowania, ile do hamowania. Kanał miał miejscami dość znaczne spadki i Spiller w obawie, ażeby mydelniczka nie nabrała zbyt wielkiego rozpędu, przytrzymywał ją, skra-cając za każdym razem linę.

— Hop, hop! Jestem tu! — wołał Strączek, idąc w niewielkiej odległości za mydelniczką, a echo powtarzało głos jego w tunelu.

Odblask świeczek drżał i migotał na łukowatym sklepieniu i na ociekających wilgocią ścianach. Strączek brodził wśród śliskiej mydlanej piany, a rzeczy ich owinięte nieprzemakalnym materiałem płynęły przed nim, tak jakby to nie Strączek ciągnął swoje tobołki, lecz tobołki Strączka.

— Hop, hop! — wołał co jakiś czas.

Głos jego brzmiał wesoło i Arietta zauważyła, że od chwili kiedy znalazł się w kanale, poweselał i był dobrej myśli. I ona czuła się niewy-

119

powiedzianie szczęśliwa: była razem z rodzicami, razem ze Spillerem — i otwierała się przed nią radosna przyszłość. Kanał nie budził w niej lęku; uwalniał od kurzu, pyłu, groźnych cieni i migotliwych świeczek i prowadził do nowego życia, do życia, w którym słońce będzie świecić w dzień, a księżyc w nocy: do życia na swobodzie!

Kręciła się na swym miejscu, ażeby widzieć najwięcej przed sobą, i nagle — ujrzała z lewej strony spory otwór, z którego dmuchnęło tak mocno, że świeczkaomal nie zgasła. Ośloniła ją dłonią jak daszkiem, a Dominika zrobiła to samo ze swoją świeczką.

— Tutaj wychodzi rura od zlewu — objaśnił Spiller — a kiedy wylewają wodę z kotła...

Nie dokończył, lecz Arietta zrozumiała, co miał na myśli.

Ciągle mijali wyloty różnych mniejszych lub większych odgałęzień i na dnie kanału, którym szli, nagromadził się cały zbiór rozmaitych rupiec, przez które coraz trudniej było przeciągnąć mydelniczkę. Arietta i Dominika wysiadły, ażeby ułatwić Spillerowi zadanie. Orientował się on znakomicie wśród tych licznych kolanek, rozgałęzień i odnóg rur odpływowych. Wskazując ruchem głowy owalny wylot,

powiedział:

— A tędy wypływa woda z kąpieli. Rzeczywiście, otwór, który mijali, wydawał się

czystszej szy niż itine i pokryty był białą glazurą,

120

lśniąca jak porcelana; począwszy od tego miejsca powietrze wydawało się w całym tunelu jakby świeższe, bardziej orzeźwiające. W pewnej chwili Spiller potknął się i omal nie upadł na muliste podłoże, lecz w ostatniej chwili Arietta chwyciła go za rękę i udało mu się utrzymać równowagę. Dominika dmuchała lekko na swoją świeczkę, ażeby rozniecić płomyk w skwierczącym knotku. Wszyscy troje czekali dłuższą chwilę na Strączka, żeby się do nich przyłączył.

Wreszcie Strączek zjawił się. Był zmęczony i zasapany. Zdjął marynarkę i zarzucił sobie na ramiona.

— Ostatni kawałek drogi zawsze jest najtrudniejszy — powiedział.

-*- Może byś lepiej usiadł razem z nami? — zaproponowała Dominika.

— Nie, wolę iść pieszo — odparł Strączek.

— No to daj mi chociaż marynarkę — rzekła Dominika, wsiadając do mydelniczki.

Rozłożyła na kolanach marynarkę i pogłaskała ją kilkakrotnie, jakby ta marynarka była tak samo zmęczona jak Strączek.

I znów ruszyli w dalszą drogę. Ciągnęła się przed nimi długa, monotonna perspektywa wciąż takich samych zaokrąglonych ścian tunelu, wśród których tu i ówdzie sterczała płatanina rozgałęzionych rur.

Ariettę zmorzył sen; zamknęła oczy, głowa jej zaczęła się kiwać, ręce oparte na jajku opadły

121

i omal nie zsunęła się z ławeczki. Zanim zasnęła na dobre, poczuła, że matka okrywa ją marynarką.

Gdy obudziła się po jakimś czasie, stwierdziła, że nic się dookoła nie zmieniło: te same drżące i tańczące cienie na wilgotnym stropie, ten sam muł i odpadki dookoła. Błada, wąska twarz Spil-lera świeciła w ciemności — maszerował dzielnie obok mydelniczki — a z tyłu wolno ciągnął nogi Strączek, niosąc na plecach związane razem tobołki, które wyglądały z daleka jak duży garb.

— Zbudziłaś się? — zapytała Dominika z uśmiechem. — I nie wiesz, gdzie jesteś?

Arietta pokiwała głową w milczeniu. Matka trzymała w ręku świeczkę i Arietta zauważyła, że воск prawie cały już stopniał i świeczka zmieniała się w malusieńki ogarek.

— Jest już chyba bardzo późno... — powiedziała sennie.

— Spij, śpij, dziecko — rzekła Dominika. Głosy ich rozbrzmiewały echem w pustce tunelu.

Arietta drżała z zimna, okryła się więc szczelniej marynarką ojca. Powietrze było tu chłodniejsze i już wolne od nieprzyjemnej woni. Wśród ciszy słychać było tylko szuranie mydelniczki, ciągniętej po mulistym dnie, regularne, mocne kroki Spillera i człapanie nóg Strączka. Warstwa osadu stawiała się coraz cieńsza. W jakimś momencie mydelniczka zaskrzypiała tak,

122

jak gdyby przesuwiała się po żwirze. Spiller przystanął.

— Cicho! — rzucił półgłosem.

Dominika i Arietta wsłuchiwały się w ciszę z zapartym tchem, ale nie usłyszały nic oprócz sapania Strączka i regularnie kapiących kropeł ze sklepienia tunelu.

— Jeszcze chwila, a świeczka zgaśnie... — wyszeptała Dominika z lękiem.

— Cicho! — syknął Spiller.

Po chwili dał się słyszeć słaby, bębniący, jednostajny szum, jakby lejącej się wody.

— Co to? — zapytała szeptem Dominika. Spiller stał bez ruchu, z ręką wzniesioną w górę, i słuchał z napięciem.

*— Kąpiel — zawyrokował.

— Ale kto kąpie się o tej porze... wśród nocy? — zapytała Dominika.

— Już niedługo ranek — odezwał się Strączek. — Pewno będzie koło szóstej.

Bębnienie stawało się coraz wyraźniejsze, szum wody przybierał na sile.

— Uciekajmy! — krzyknął Spiller.

I pociągnął za sobą gwałtownie mydelniczkę w głąb tunelu. Porwane tym nagłym ruchem Arietta i Dominika zderzyły się głowami. Mydelniczką, szarpaną na krótkiej linie, rzucało od ściany do ściany tunelu. Dominika i Arietta, wystraszone, przede wszystkim osłaniały świeczki, ażeby nie zgasły. Obie bały się panicznie całko-

123

witych ciemności. Dominika wyciągnęła wolną rękę, a Strączek, przytłoczony tobołkami tak, że się pod nimi ugiął, chwycił z ulgą jej dłoń.

— Wysiadać! — rozległ się rozkazujący głos Spillera z głębi tunelu.

Dostrzegli połyskujące wśród ciemności cienkie rozgałęzienie rur, wmontowane w sklepienie tunelu.

— Wdrapać się pod strop! — rozkazał Spiller. Z właściwą Pożyczalskim zwinnością wspięli się po grubszej rurze i przyłgnęli do jej węższej odnogi pod samym stropem tunelu. Przewrócone świece leżały na dnie mydelniczki i kapał z nich воск. W ich migotliwym świetle najpierw tańczyły, wirowały i srebrzyły się perliste bańki wodne, a w chwilę później runął potok, niepowstrzymany jak wodospad.

Po paru chwilach Arietta oprzytomniała: trzymając się mocno rury, zrozumiała, że jest bezpieczna. Bryzgi ciepłej, pachnącej wody chwilami tryskały w górę, opryskiwały jej sukienkę, toczyły się w dół i kroplami spływały wzdłuż jej nóg.

— Gdzie jesteś, Arietko? — pytała strwożona Dominika.

— Tu jestem, mamó!

— Trzymaj się mocno, moje dziecko! — upominał ją Strączek.

Z wolna woda przestała łać się kaskadą, a zaczęła płynąć spokojniej, niby niewinny, stateczny

124

strumień. Unosiła się nad nią srebrzysta mgiełka, drgająca w blasku ruchliwego płomienia świeczek.

Uspokojeni, oderwali się od rury pod stropem tunelu i ostrożnie zaczęli schodzić na dół. W pewnej chwili łagodnie ciepła, spokojnie płynąca woda sięgała im do kostek. Z tego miejsca mogli dojrzeć słaby, przeświecający brząsk na linii zetknięcia się wody z czernią ścian tunelu.

— Rozjaśnia się — zauważył Strączek. — A gdzie nasz bagaż? — zaniepokoił się nagle.

Wszystko — mydelniczkę wraz z jajkiem i nawet tobołki, które zsunęły mu się z pleców i spadły nie zauważone do wody — porwał ze sobą szybki, spieniony, rwący nurt.

— Co teraz będzie? — zafrasowała się Dominika. — Och, moi drodzy! Nie mamy już nic!

Lecz Spiller rozwił jej obawy:

— Nie martwcie się! Wszystkie wasze rzeczy pozbiera się później. Nic się nie stało.

Uspokojona Dominika wciągnęła z lubością powietrze.

— Drzewo sandałowe! — stwierdziła z przyjemnością. — Ach, jak ja lubię ten zapach! Moje ulubione mydło!

Arietta przystanęła w wodzie, sięgającej jej prawie do kolan. Woda była przyjemnie ciepła, nic jej więc to nie przeszkadzało. Wbiła wzrok w głąb tunelu. Gdzieś daleko widać było jakby świecący paciorek. Przeleciało jej przez myśl, że

może znalazła się tam jakimś czarodziejskim sposobem jej świeczka — ale nie, to światełko było okrągłe i zadziwiająco nieruchome. Naraz poczuła — pomieszany z zapachem sandałowego mydła — wilgotny, przejmujący zapach, jakby mięty czy może trawy: zapach ziemi...

— Świta — oznajmiła uroczyście i nie odrywając oczu od świecącej przy końcu tunelu, okrągłej jak paciorek kuleczki światła dodała: — Tam jest wylot kanału!

gg^»m\ltlfiiniłJl HWli W/W^1 >liJ^W^ 'yil|//f///Arzyz

1

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ciepło bijące od wody rozproszyło się i w czasie dalszego marszu wszyscy czworo poczuli głód. Okrągłe światełko rośło i jaśniało, w miarę jak się zbliżali do wyjścia, aż w końcu musieli zmrużyć oczy przed rażącym blaskiem.

-i- Słońce wschodzi — oznajmiła Arietta uroczyście.

Mimo woli przyśpieszyli kroku. Woda z kąpieli sączyła się już teraz tylko wąskim strumyczkiem, a tunel wydawał się niezwykle czysty.

I Arietta także czuła się dziwnie oczyszczona, jak gdyby ta płynąca woda zmyła z niej ślady dawnego życia wśród kurzu, pyłu i ciemności. Widocznie Dominika doznawała podobnego wrażenia, gdyż powiedziała na głos:

— Nie ma nic przyjemniejszego, jak silny strumień pachnącej mydłem wody. Taka czuję się teraz czysta, jakbym się sama wykąpała!

Arietta szła szybko i pierwsza dotarła do wylotu tunelu, pierwsza stanęła na wąziutkim, piaszczystym brzeżku ziemi, porośniętym trawą i sito-

127

wiem. Znajdował się tu zaciszny zakątek, oblany blaskiem wschodzącego słońca.

— Jak ciepło! — zawołała Dominika. — Kto by powiedział, że to dopiero początek marca!

Tobołki Strączka tkwiły u wylotu rury zatrzymane przez szpilkę, która wbiła się w piasek, a wywrócona do góry dnem mydelniczka zaczęła się o sterczący z ziemi korzeń. Jajko przyplątnęło pod sam brzeg, ale wciąż jeszcze leżało w wodzie i wydawało się jakoś dziwnie spłaszczone. Ale gdy przenieśli je na mieliznę, okazało się, że było to tylko złudzenie optyczne: jajko wyglądało tak samo jak przedtem, tylko w wodzie, wskutek załamывania się promieni słońca, robiło wrażenie zniekształconego. Jedyna prawdziwa zmiana, jaką zauważyli, to była porysowana skorupka. Arietta i Spiller przeturlali jajko na piaszczysty, nieco podwyższony brzeg, na którym Strączek rozpakowywał ociekające wodą tobołki, z niepokojem badając,

czy rękaw nieprzemakalnego płaszcza dostatecznie uchronił ich bagaż przed wilgocią. Triumfująco wykladał rzeczy, jedną po drugiej, na ciepły piasek.

— Suche jak pieprz... — powtarzał raz po raz. Dominika odłożyła na bok po jednej zmianie

bielizny dla każdego z nich. Sweterki, chociaż czyste, były już bardzo znoszone i rozciągnięte: sama robiła je na drutach — o, ile to czasu od tamtych dni upłynęło! — przy pomocy przytępionych igieł do cerowania — wówczas gdy

128

mieszkali pod kuchnią we Wrzosowym Wzgórzu, w dużym domu zwanym „Stokrotką”. Arietta i Dominika w ukryciu przebrały się od stóp do głów, ale Spiller, chociaż Strączek ofiarował mu swoje ubranie, nie chciał z niego skorzystać. Wyśliznął się niepostrzeżenie, ażeby jak najprędzej wrócić do swego czajnika.

Gdy wszyscy troje byli już gotowi, a przemoczona odzież suszyła się rozwieszona na sznurku, Dominika rozłupała jajko u samego czubka. Strączek wytarł starannie swój cenny kawałek żyłki, naoliwiony dla zabezpieczenia przed rdzą, i odkrajał dla każdego po plasterku jajka. Usiedli na piasku, grzali się na słońcu, patrzyli na drobne zmarszczki na wodzie, jedli i czuli się szczęśliwi.

Po jakimś czasie Spiller wrócił. Usiadł naprzeciwko nich, pałaszował jajko, którym go poczęstowano, i mrużył oczy w słońcu.

— Gdzie jest właściwie ten twój imbryk? — zapytała Arietta.

Spiller odrzucił głowę w tył.

— Blisko... zaraz za zakrętem.

Strączek nie zapomniał zapakować naparstka; napełniali go teraz świeżą, czystą wodą i pili, każdy po kolei. Potem spakowali rzeczy z powrotem i pozostawiając bieliznę i odzież suszącą się na sznurze, ruszyli w ślad za Spillerem.

Za zakrętem, nad wijącą się rzeką, leżał imbryk, przechylony nieco na bok, ukryty wśród

9 — Pożyczalscy na wypie

129

sitowia i gałęzi, podmywanych od spodu wodą, dość w tym miejscu głęboką.

Na gałęziach nadbrzeżnych krzaków wyrastały świeże listki na miejsce starych, obumarłych i brunatnych, a wśród poplątanej gmatwaniny korzeni do połowy nurzających się w wodzie Spiller ukrył swoje czołno.

Arietta napierała się, żeby najpierw zobaczyć łódź, ale Strączek wołał przedtem zobaczyć czajnik. Od razu zauważył z boku okrągły, na pół szczerbiony od rdzy otwór.

— Tędy się wchodzi? — zapytał. Spiller kiwnął głową.

Strączek spojrzał wyżej. Pokrywka — i to także Strączek od razu zauważył — nie pasowała i Spiller przywiązał ją sznurkiem do wygiętego pałkowatego uchwytu czajnika.

— Chodźmy! — zaproponował Spiller. — Pokażę wam, jak jest w środku.

Strączek i Spiller weszli przez zardzewiały otwór do wnętrza, a Dominika i Arietta zostały przed wejściem i czekały. Po chwili Spiller wychylił się, krzycząc gniewnie:

— Wyłaż stąd, wyłaż! Precz! Nakrapiana, zielona żabka, wystraszona, dała

wielkiego susa i skoczyła prosto do wody. W chwilę później z otworu wysunęły się dwie zwinięte w kłębek stonogi, które Spiller strącił bosą stopą.

- Już nic więcej nie ma — rzekł do Domini-

130

ki, a widząc, że ta otrząsa się ze wstrętem, uśmiechnął się szeroko i po chwili zniknął we wnętrzu czajnika.

Dominika spojrzała na Ariettę i szepnęła:

— Żeby ci tylko nie przyszło do głowy spać w tym brudzie!

. — Można doprowadzić do porządku, oczyścić — odparła również szeptem Arietta i po chwili dodała: — A jak było w bucie... już nie pamiętasz? Zamiast odpowiedzi Dominika zapytała:

— Jak myślisz... kiedy on nas zawiezie do tego Małego Potoku?

— Jak tylko będzie pełnia księżyca — odparła Arietta.

— Dlaczego? — zdziwiła się Dominika.

— Bo on najbardziej lubi po nocy...

— Taaaak... taak... — powtórzyła przeciągle Dominika, ale po jej minie widać było, że niewiele z odpowiedzi Arietty zrozumiała.

Dziwny, metaliczny dźwięk ściągnął ich uwagę: to pokrywka czajnika podskakiwała w górę i na dół, jak gdyby ściągana i podrzucana od środka.

— Zależnie od tego, jak kto chce... — rozległ się dudniący głos z wnętrza imbryka.

— Bardzo pomysłowe — zabrzmiał drugi głos, niemniej dudniący.

— To chyba nie Strączek? — wystraszyła się Dominika.

- Ależ tak, na pewno! — uspokoiła ją Ariet-ta. — Tylko głos ma zmieniony.
- Och, chciałabym, żeby on już stamtąd wyszedł! — jęknęła Dominika. — Bo ja...

Nie zdążyła dokończyć rozpoczętego zdania, gdy Strączek wyskoczył i stanął na płaskim kamieniu, służącym za stopień przy wejściu do czajnika.

- Widziałaś? — zapytał Dominikę, zadowolony.

Skinęła głową.

- Pomysłowe, co?

Dominika znów przytaknęła ruchem głowy.

- A teraz — rzekł Strączek — pójdziemy zobaczyć tę Spillerową łódź. — Radzę ci — zwrócił się do Dominiki — zdejmij buciki.

- Dlaczego? Czy tam jest błoto?

- Nie wiem, jak tam jest, nie widziałem. Ale na bosaka nie tak łatwo się pośliznąć. Zdejmij buciki i chodź! Arietta też ma boscie nóżki.

r

ROZDZIAŁ

i J J O i CZTERNASTY

.

a

Chociaż znajdowali się prawie na mieliźnie, czuli, że korytem rzeki płynie lodowaty nurt. Idąc gęsiego, ze Spillerem na czele, pokonali przestrzeń dzielącą ich od czółna. Z bliska wydawało im się przestronne, ale dość niezgrabne w kształcie: prostokątne i płaskodenne, za to małe wywrotne. Było to rzeczywiście, tak jak Dominika odgadła, pudełko od noży i widelców, długie i szerokie, z symetrycznymi przegródkami na sztuce różnych wymiarów.

- To czółno — raczej należałoby nazwać barką — zauważył Strączek, oglądając je ze wszystkich stron.

- Dobrze się trzyma na wodzie — pochwalił Spiller i pokazał im, jak można zakryć je od góry rozkładającym się na boki wiekiem.

Przegródki były puste, z wyjątkiem jednej, tej największej. Znajdowało się w niej kilka rzeczy: drut do szydełkowania, z główką żółtą jak bursztyn, kwadratowy skrawek koca, czerwonego w paski, mały płaski nożyk do masła z matowe-

133

go srebra i jedno ostrze starych nożyczek do paznokci, z owalnym uchwytem.

— Masz. to jeszcze? — zdziwił się Strączek.

— Przydaje mi się często — odparł Spiller wymijająco. — Ostrożnie! — zawołał, widząc, że Strączek sięga po nie. — Naostrzyłem je dobrze!

— Nie miałbym nic przeciwko temu — rzekł Strączek z odrobiną zazdrości w głosie — gdybyś mi je kiedyś oddał... a sam wystarał się o inne.

— Nie tak łatwo zdobyć taką rzecz — rzekł Spiller i chcąc zmienić temat wskazał na nożyk do masła: — Znalazłem w przegrodce. Był wciśnięty z boku w szczelinę. Służy mi jako wiosło.

— Bardzo dobrze — pochwalił Strączek, nie bez żalu odkładając ostrze nożyczek na miejsce.

— A gdzieś ty w ogóle znalazł to całe pudło? — zapytał po chwili.

— Leżało na dnie rzeki. Całe ubłocone. Miejscami dziurawe. Mnóstwo z tym było roboty. Oczyszczyć, pozatykać szpary. Naprawić.

— Ale skąd się tu wzięło? — zastanawiał się Strączek.

— Wygląda na to — odparł Spiller — że ktoś srebro ukradł, a pudło wyrzucił.

— Możliwe — rzekł Strączek i nie mogąc oderwać oczu od ostrza nożyczek, wrócił znów do poprzedniego tematu: — A więc mówisz, żeś je dobrze naostrzył?

— Tak — rzucił Spiller krótko.

134

Pochylił się, podniósł złożony równiutko skrawek koca i podał Strączkowi.

— Weźcie to... W nocy może być chłodno.

— A ty? — spytał Strączek.

— Dam sobie radę — odparł rezolutnie Spiller. — Weźcie wy!

— Och! — zawołała Dominika. — To jest przecież ten sam koc, który mieliśmy w bucie...

Poczuła własny nietakt, zarumieniła się i szybko dodała:

— A może mi się tylko tak zdaje.

— Weźcie, proszę — nalegał Spiller.

—« Dobrze, dziękuję — rzekł Strączek i narzucił koc na ramiona.

Objął wzrokiem czołno, obejrzał je ze wszystkich^ stron i jeszcze raz pochwalił Spillera:

— Świetnie urządziłeś się, Spiller! W takim pudle możesz nawet mieszkać i nie bać się ani deszczu, ani wiatru... pod tą szczelną pokrywą!

— Prawda — przyznał Spiller i wyciągnął z przegródki drut do szydełkowania; najpierw ukazała się żółta bursztynowa główka, potem cały drut. — Nie chciałbym was przynaglać, ale...

— Jak to? — zawołała Dominika, zaskoczona i wystraszona. — Chcesz nas zostawić samych? Odpływasz?

— Im wcześniej odpłynię, tym prędzej wróci — rzekł Strączek.

— Ale na jak długo? — dopytywała się Dominika.

135

— Ile czasu zabierze ci ta podróż, jak myślisz, Spiller? Dwa dni? Trzy? Cztery? Tydzień?

— Nie wiem — odparł Spiller. — Może krócej, może dłużej. Zależy od pogody. Może uda mi się wrócić za trzy dni... jeśli noc będzie księżycowa.

— Wrócisz w nocy? A jeśli my będziemy spali?... — zmartwiła się Dominika.

— To nic — uspokajał ją Strączek. — Spiller już nas odszuka.

I ująwszy ją pod łokieć, rzekł energicznie:

— Chodźmy, Dominiko!

Przeprowadził ją ostrożnie przez wąski pasek wody i znów znaleźli się na suchym gruncie. Po chwili przyłączyła się do nich Arietta, cała opryskana błotem. Stanęli wszyscy troje na skraju piaszczystej łąchy i z tego miejsca patrzyli, jak Spiller odpływa. Najsamprzód zręcznie odcumował łódź, a potem odbił się wiosłem od brzegu, tak że wypłynęła rufą do przodu spod przybrzeżnych zarośli. Kilkoma szybkimi ruchami wymanewrował ją na otwartą wodę, a im dalej płynęła, tym bardziej stawała się niewidoczna: z daleka wyglądała nie jak pudło, lecz jak mały drewniany klocek, a potem — już tylko jak płaski ciemny płat kory.

Dopiero wtedy, gdy Spiller stanął w czołnie i zaczął płynąć na pych, posiłkując się drutem do szydełkowania niby żerdzią, ujrzeli go znowu. Wpatrywali się usilnie w odpływającą łódź, do-

136

póki nie znikła im z oczu. Jeszcze chwilę machali mu ręką na pożegnanie, po czym zawrócili i poszli w kierunku czajnika.

— Wolałabym, żeby nie zostawiał nas samych tak długo — mruczała Dominika.

Przed wejściem do tunelu suszyła się ich odzież, tak jak zostawili ją wiszącą na sznurze. Ale nad ściętym czubkiem jaja przelatowała wielka mucha, z mieniącymi się tęczowo skrzydełkami.

— Osa! Osa! — krzyknęła Dominika i wystraszona pobiegła przed siebie.

— Uspokój się! — zawołał Strączek. — To nie osa! Zwykła mucha!

Znał się widocznie lepiej niż ona na owadach i od razu poznał, że to mucha, jakich pełno nad wodą: o połyskliwych, prążkowanych na kolor błękitny i złoty skrzydełkach.

Jajko pozostało nienaruszone, ale Dominika dmuchała i chuchała na nie, w końcu wytarła je starannie rąbkiem fartuszka, mrucząc pod nosem:

— Nigdy nic nie wiadomo...

Strączek tymczasem przebierał wśród rupieci, wyrzuconych przez wodę u wylotu tunelu. Wyłowił spośród nich zaokrąglony korek.

— To się na pewno przyda — oświadczył.

— Do czego? — zapytała Dominika.

— Zobaczysz — odpowiedział zagadkowo. Dominika zabrała się do zdejmowania ze sznura gniszącej się odzieży. Wyszła już całkowicie,

137

ale wciąż jeszcze zachowywała nikły, przyjemny zapach drzewa sandałowego.

— O, szpilka do włosów! — ucieszył się Strączek.

Była to ta sama szpilka, którą Arietta zauważyła w głębi tunelu — teraz, omyta bieżącą wodą, lśniła jak wypolerowana.

— Wiesz, co powinniśmy robić, skoro już tu jesteśmy? — rzekł Strączek.

— Co takiego? — zapytała Dominika.

— Przychodzić tu co rano i patrzeć, co woda w nocy wyrzuciła z tunelu.

— Nie przypuszczam, żeby tam znalazło się coś takiego — odparła Dominika, wzruszając ramionami — po co warto by się było schylać.

— A gdyby tak znalazł się złoty pierścionek? — powiedział Strączek marzycielsko. — Podobno

pierścionki często wpadają do spustu w umywalni... Ale nawet gdyby trafiła się jaka agrafka... także byłabyś zadowolona, moja kochana!

— W tych warunkach — odparła Dominika — z pewnością wołałabym agrafkę.

Zanieśli swoje rzeczy do imbryka. Dominika weszła na gładki kamień, który stanowił jakby rodzaj schodka, i zajrzała przez otwór. Do wnętrza padało światło od góry, ze szpary pod uniesioną pokrywką, przywiązaną do kabłąkowego uchwyty. Ze środka zalaływał niemiły zapach

X38

rdzy czy stęchlizny. Wszystko razem nie przedstawiało się zbyt zachęcająco.

— Musimy postarać się o wiązkę czystej, suchej trawy — zdecydował Strączek. — Żebyśmy mieli na czym spać. Przykryjemy się kocem, chodzi więc tylko o podściółkę.

Rozejrzał się wokoło. Znajdowali się na wyniesionej nad wodą niewielkiej skarpie. Było to miejsce jak wymarzone dla Pożyczalskich: woda rzeczna podmyła i oczyściła korzenie drzew z piasku i teraz zwiślały w kępkach i festonach, nagie i jędrne, lecz mocno zakotwiczone w ziemi.

Strączek i Arietta szli ostrożnie — trzymając się za rękę i stawiając wolniutko krok za krokiem — kłębki miejscami pnąc się w górę, miejscami czołgając się, tak jakby jedno korzenie były kładką, inne drabiną, a jeszcze inne tylko zabezpieczającą poręczą. Były to pyszne ćwiczenia równowagi i Arietta żałowała, kiedy ta gimnastyka już się skończyła.

Gdzieś rosnęły kępki trawy — niektóre świeżo wykiełkowane źdźbła miały barwę żywej zieleni, inne zaś były spłowiałe, zmatowiałe i żółte. Strączek ścinał trawki ostrzem żyłki, Arietta zaś zbierała, wiązała w snopki i podawała Dominice, która z kolei wrzucała je przez otwór do wnętrza czajnika.

Gdy dno imbryka było już dobrze wymoszczone trawą, Arietta zajrzała przez pokryty rdzą

139

otwór: teraz już pachniało nie rdzą* lecz przy-, jemnie sianem.

Nie zauważyli nawet, jak szybko minął dzień. Słońce zaszło i zrobiło się chłodniej.

— Co by nam teraz dobrze zrobiło — rzekła Dominika — to filiżanka gorącej herbaty... przed snem...

Ale gorąca herbata musiała pozostać w dziedzinie marzeń; na razie zadowolili się jajkiem. Każde z nich dostało spory, okrągły plaster, ładnie ułożony na listku szczawiu. Tak podała im Dominika.

Strączek wyciągnął z tobołka kłębek sznura, zawiązał na jednym końcu mocny supeł, drugi koniec przeciągnął przez środek korka i mocno zacisnął.

— Co z tego będzie? — zapytała Dominika, wycierając ręce o fartuch.

Nie sfatygowała się za bardzo, przyrządzając posiłek dla wszystkich. Dobrze, że nie trzeba tu nic gotować

ani zmywać. Starannie zebrała skorupki jajka i wrzuciła do wody.

— Nie domyślasz się? — zapytał Strączek. Sapiąc z wysiłku, skrawał i wyrównywał ostrzem żyłki brzeżki korka.

— Chcesz zatkać otwór czajnika?

— Zgadłś — odparł Strączek. — Wsadzimy zatyczkę i będziemy się czuli już teraz naprawdę bezpiecznie.

Arietta pobiegła „pogimnastykować się” na

140

^/>^4^^Ł

korzeniach. Przeskakiwała z jednego na drugi i na tle zmierzchającego nieba widać było jej sylwetkę z rozwianymi na wietrze włosami.

— Jak ona lubi być na powietrzu!... — zauważyła Dominika, rozrzuwniona.

— A ty nie lubisz? — zapytał Strączek. Dominika zastanawiała się chwilę.

— Lubię i nie lubię — odpowiedziała w końcu. — Boję się różnych owadów, zawsze się bałam. I poza tym w takich warunkach... — rozejrzała się dookoła — trudniej żyć niż pod dachem.

Ale widząc, że Strączek zmarkotniał, dodała od razu:

— Tu mi się podoba. Zobaczysz, będzie nam dobrze!

— To właśnie chciałem usłyszeć — rzekł Strączek, nie przestając ociosywać korka.

— Teraz czuję się naprawdę bezpieczna — oświadczyła Dominika. — Dobrze wymyśliłeś z tym korkiem!

Gdzieś daleko huknęła sowa — raz i drugi — echo powtórzyło wysoki, przejmujący dźwięk. Dominika — chociaż przed chwilą zapewniała, że czuje się bezpieczna — zatrzęsała się ze strachu.

— Sowa — uspokoił ją Strączek. — Nie bój się! Jest daleko i wysoko. Nic nam nie zrobi.

Lecz Dominika zaczęła gwałtownie wzywać córkę.

— Arietko! — wołała. — Arietko! Wracaj szybko!

142

We wnętrzu czajnika czuli się nie tylko wygodnie, ale wręcz przytulnie, z chwilą gdy otwór wejściowy został zatkany korkiem, a pokrywa opuszczona tak szczelnie, że nigdzie nie było najmniejszej szpary.

Ten drugi środek ostrożności podjęto na specjalne żądanie Dominiki.

— Nie musimy wiedzieć, co się nad nami dzieje — dowodziła — a powietrza wystarczy tyle, ile wpada przez dziobek.

Rano, gdy zbudzili się, słońce dawno już weszło i czajnik był dobrze nagrany. Jak to przyjemnie unieść pokrywkę i ujrzeć nad sobą błękitne, bez jednej chmurki niebo!

Strączek wyciągnął korek z zaczipowanego otworu i wszyscy troje, jedno za drugim, przecisnęli się przezeń i znaleźli na kępce trawy.

Śniadanie postanowili zjeść na wolnym powietrzu. Jajko przenieśli teraz bez trudu, gdyż pozostało z niego nie więcej niż dwie trzecie.

— Jak miło, jak ciepło na słoneczku! — rozkoszował się Strączek.

Pokrzepiony jadłem, postanowił udać się na poszukiwania: zabrał z sobą szpilkę od kapelusza i poszedł do wylotu tunelu, zobaczyć, co woda w nocy naniósł. Dominika, swoim dawnym zwyczajem, wyłożyła koc na trawę, którym się nakrywali w nocy, żeby się wywietrzył. Arietta znów wdrapała się na korzenie — chciała z podwyższenia objąć wzrokiem okolicę.

— Nie odchódź za daleko — przestrzegał ją

143

Strączek — będziemy cię wołali od czasu do czasu, a ty od razu odpowiadaj. Nie chcemy mieć niespodzianek, pamiętaj! Bądź grzeczna, przynajmniej dopóki Spiller nie wróci.

— I potem także! — uzupełniła Dominika, starając się nadać swemu głosowi brzmienie jeśli nie surowe, to przynajmniej poważne.

Lecz w gruncie rzeczy Dominika czuła się spokojna i nawet wesoła jak rzadko kiedy. Nie miała teraz żadnych ambarasujących zajęć gospodarskich — ani gotowania, ani sprzątanía, ani krzątania się po domu. Nic, żadnych planów, żadnych rozmyślań i niepokojów. Położyła się na czerwonym kocyku i opalała na słońcu. Zamknęła oczy i Strączek myślał, że się zdrzemnęła. Ale nie, Dominika nie spała — Dominika marzyła na jawie. Wyobrażała sobie dom — prawdziwy dom, nareszcie na ich właściwą miarę — z drzwiami, oknami, meblami... dom Pożyczalskich! Chwilami zdawało jej się, że najlepszy byłby mały i ciasny, a chwilami znów wyobrażała sobie wysoki, czteropiętrowy... byleby tylko należał cały do niej! A właściwie dlaczego nie pałacyk? — przemknęło jej przez myśl.

Wraz z wyobrażeniem pałacyku, nie wiadomo z jakiego powodu, przypomniła jej się Lucy. Co też sobie pomyślała, gdy nie znalazła nikogo w pokojach na górze? Zniknęli wszyscy troje tak nagle, jakby rozpułynęli się w powietrzu. Jakże się Lucy musiała zdziwić, jaka musiała być

144

wzburzona, jakież to robiła rozmaite przypuszczenia! Na pewno nie wpadła na to, że wydostali się przez

kanal. I nigdy, nigdy nie domyśli się, jakie to wspaniałe życie czeka ich, gdy dotrą w końcu do Małego Potoku...

Dwa dni minęły spokojnie i pogodnie, ale trzeciego dnia zaczęło padać. Od samego rana na niebie gromadziły się chmury, a po południu lunął deszcz. Arietta, żądna jak zawsze powietrza, nie chciała wracać do czajnika: ukryła się pod nawistymi korzeniami jak pod daszkiem, ale nasilająca się ulewa zmusiła ją do opuszczenia tego tymczasowego schronu. W czajniku było duszno/toteż wszyscy troje zdecydowali ukryć się w wylocie tunelu. Przemokłe korzenie zrobiły się oślizłe i Dominika posuwała się wolniutko, krok za krokiem, a Strączek ubezpieczał ją od tyłu.

W tunelu było ciemno i zacisznie. Słyszeć było tylko szmer jednostajnie płynącej wody. Nagle w głębi rozległo się dudnienie, potężniejące z każdą chwilą, jak werbel. Strączek przyłożył dłoń do ucha i nasłuchiwał czujnie. Naraz krzyknął:

— Kąpiel!... Uciekajmy!

Dominika ociągała się jeszcze chwilę — wysunęła głowę z tunelu i gdy ujrzała siekące bryzgi deszczu, próbowała dowodzić, że jeśli i tak mają zмокnąć, to chyba wszystko jedno, czy od

10 — Pożyczalscy na wyspie

145

wody zimnej, czy ciepłej — ale ponieważ wodospad w głębi tunelu stawał się z chwili na chwilę bardziej grzmiący i strugi ciepłej wody pełżyły już po dnie, Strączek chwycił energicznie jedną i drugą i wyciągnął obie wprost pod fontannę ulewnego deszczu.

1))C) 1 s ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

i i f7/////////5//^^^

I

Dobrze zrobili, że w porę uciekli: potok, który runął z głębi tunelu, zalał prawie całą przestrzeń, która oddzielała ich od czajnika.

Woda tak wezbrała, że przejść w bród było trudno; przydałaby się im łódź, ale łodzi, niestety, nie mieli. Delikatne zmarszczki przeobraziły się w groźne, przewalające się fale. Woda zgęstniała i przybrała brunatną barwę, a rwący potok niósł całe gałęzie, które już to zapadały się, już to wypływały na wierzch cwałujących mas wodnych.

— Spiller nie da sobie rady... — mruczała pod nosem Dominika.

Przeczekali dłuższą chwilę, przytuleni do siebie na brzegu, a gdy wreszcie główny nurt przewalił się gwałtownie do rzeki i woda opadła, odważyli się ruszyć z powrotem, przeskakując z kamienia na kamień.

Gdy znaleźli się w środku czajnika, byli tak przemoczeni, że musieli przebrać się od stóp do głów. Wielkie krople deszczu bębniły w pokryw-

10*

147

kę imbryka, woda w rzece bulgotała i huczała, choć szum jej i plusk dobiegały do nich przytłumione jak głos z piwnicy. Ale sam czajnik, podparty kamieniem i jak gdyby wkliniowany nieco ukośnie w skarpe nadbrzeżną, trzymał się mocno niczym twierdza. We wnętrzu czajnika było sucho i zaciszenie, gdyż dzióbek stał odwrócony w kierunku wiatru, a przez szczelnie przylegającą pokrywkę nie przedostawała się ani jedna kropla deszczu.

— Solidna robota — pochwalił Strączek. — Stary, dobry czajnik! Brzegi ma wzmocnione, z podwójnej blachy.

W przewidywaniu, iż Spiller lada moment wróci i przywiezie żywność, nie skąpili sobie jadła i nie odkładali na później: z jajka, choć odkrawali po cienkim plasterku, została prawie tylko skorupka. Zaczął im już doskwierać głód, który tym bardziej przybierał na sile, im częściej wyglądali przez zardzewiały otwór czajnika: fale niosły mnóstwo mogących się przydać rzeczy, a raz nawet mignęła im przed oczyma cała — tylko że nasiąknięta — pszenna bułka.

Gdy zapadł zmierzch, zatkali korkiem otwór i ułożyli się do snu.

— Bądź co bądź — rozumował Strączek — jest nam ciepło i sucho, a to przecież najważniejsze. Jeszcze trochę, a deszcz przestanie padać...

148

Niestety, przewidywania jego nie sprawdziły się ani nazajutrz, ani trzeciego dnia.

— Ten deszcz nie skończy się nigdy — biadała Dominika. — I Spiller już nie wróci... Jak on przypłynie w taką pogodę? Nie da sobie rady!

— Co ty wygadujesz? — zachnął się Strączek. — Spiller to dzielny, doświadczony żeglarz, a jego pudło jest mocne, szczelne i ma dobrą pokrywę. Wspomnisz moje słowa, Dominiko: Spil-lera tylko patrzeć! Nie należy do tych, którzy boją się paru kropel deszczu.

Nazajutrz był dzień „bananowy”. Strączek wybrał się na rekonesans: wdrapał się na pokryte grubą warstwą błota gałęzie i przeskakując żwawo z jednej na drugą, znalazł takie miejsce, w którym nurt rzeki zakręcał i tracił na rozpędzie. Przechylony na gałęzi, dotykającej prawie tafli wodnej, Strączek zdołał wyłowić pół paczki rozmokłych papierosów, kawałek spęczniałego od wody zgrzebnego płótna i całego, ale mocno już przejrzałego banana.

Ostrożnie, powolutku jął wtłaczać banan przez otwór do czajnika. Dominika nie zorientowała się w pierwszej chwili, co to jest, wystraszyła się i narobiła krzyku.

— Uspokój się, moja droga! — zawołał Strączek, wcisnąwszy się w ślad za bananem w głąb czajnika. — Nie rozumiem, czego ty się tak wciąż boisz. Musisz bardziej panować nad sobą!

— Powinieneś być mnie uprzedzić... — zrzę-

149

dziła Dominika, ocierając rąbkiem fartucha łzy, które nabiegły jej do oczu.

— Wołałem cię — bronił się Strączek — ale widocznie deszcz zagłuszył mój głos...

Banan był prawie zgniły, nie mógłby więc leżeć długo, toteż postanowili zjeść go od razu. Strączek pokrajał go w poprzek na cienkie talarki, razem ze skórką. Wygłodniali, zabrali się żywo do jedzenia.

Bębnienie kropli deszczu w pokrywkę czajnika utrudniało rozmowę.

— Zobaczysz — próbował Strączek pocieszać Dominikę — lada chwila zjawi się Spiller...

Dominika pochyliła się ku niemu i przykładając do ust złożone w trąbkę dłonie, zawołała:

— Czy on aby nie miał jakiego wypadku? Strączek przecząco potrząsnął głową.

— Przypłyńcie, jak tylko deszcz przestanie padać! Trzeba mieć cierpliwość.

— Co mieć? — zapytała Dominika.

— Cierpliwość — powtórzył Strączek, tym razem głośniej.

— Nie słyszę!... — zawołała Dominika.

— Cierpliwość! — huknął Strączek. Deszcz wzmógł się i znów przeszedł w silną

ulewę. Trzeba było poświęcić koc, którym się okrywali: innej rady nie mieli. Dominika zatkała od środka dziobek kocem, jak mogła najszczelniej, i od razu we wnętrzu czajnika zrobiło się duszno bez dopływu powietrza.

150

— Może trwać tak cały miesiąc — mamrotała pod nosem.

— Co? — wrzasnął Strączek.

— Cały miesiąc! — powtórzyła Dominika głośniej.

— Co cały miesiąc?

—i Deszcz! — odkrzyknęła Dominika.

Przestali w ogóle rozmawiać: wysiłek był zbyt wielki, a rezultaty zbyt żałosne. Lepiej było już położyć się

na wiązce suchej trawy i próbować zasnąć. Wszyscy troje byli najedzeni i w cieple i duchocie o senność nie było trudno.

Arietta zasnęła od razu i śniło jej się, że płynie razem ze Spillerem łódką po morzu: łódź kołysała się na fali i początkowo to wrażenie było fłość przyjemne, lecz nagle zaczęła skakać, jak gdyby dostała się w wir. Kręciła się coraz szybciej, w końcu przeobraziła się w koło i to koło wirowało, wirowało, wirowało... Arietta czepiała się jego szprych, ale wyslizgiwały się z jej rąk i rozłamywały jak słomki. Chwyciła się samej obręczy, ale i ta rozchwiała się i rozleciała w jej dłoniach. I nagle usłyszała, że ktoś ją woła:

— Arietko... Arietko... zbudź się, dziecko! Zbudź!

Mocno zaspana, dziewczynka otworzyła oczy. We wnętrzu imbryka panował półmrok. Domysliła się, że to już ranek, światło padało przez dziobek, z którego ktoś zdążył już wyciągnąć koc. Przed sobą dostrzegła sylwetkę Strączka: stał ja-

151

koś dziwnie, płaski, jak gdyby przyparty do jednego boku czajnika. Po przeciwnej stronie stała Dominika, z rozpostartymi jak skrzydła rękoma, podobnie jak Strączek dziwnie rozplaszczona, jakby przylepiona do ściany. Arietta sama także nie mogła się ruszyć: została w tej samej półsiedzącej, półleżącej pozycji, w jakiej się zbudziła.

— Jesteśmy na wodzie! — wykrzyknął Strączek. — Wir nas porwał!

Wtedy dopiero Arietta uświadomiła sobie, co się stało, czajnik dryfował na fali! Raz po raz zanurzał się i wypływał, huśtał się i kołysał, płynął w niewiadomym kierunku.

— Prąd nas znosi! — krzyknął Strączek, a w głosie jego brzmiał strach, chociaż chciał go za wszelką cenę opanować.

— Och, moi dr o... — jęknęła Dominika i nie dokończyła.

Ruszyła parokrotnie głową i był to jedyny gest, na jaki mogła się w tej chwili zdobyć. Stała znieruchomiła, z rękoma wciąż rozpostartymi na wewnętrznej ścianie czajnika, i wyglądała jak motyl przyszpilony do arkusika papieru. W czajniku zebrało się sporo wody, przelewającej się z chlupotem.

— Och, moi drodzy! — jęknęła po chwili Dominika i znów zamilkła.

Głos jej teraz słyszeć było zupełnie wyraźnie mimo plusku wody na dnie imbryka. W pokryw-

152

kę nie bębniły już wielkie krople. Widocznie deszcz ustał.

Strączek wykorzystał chwilę, kiedy czajnik płynął nieco spokojniej, bez kołysania, opadł na kolana i trzymając się ścianki, powolutku przesunął się o parę kroków.

— Chcę podnieść pokrywę. Przyciągnij do siebie sznurek! — zawołał do Arietty.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi, ale poruszać się było jej dość trudno.

Na dnie czajnika leżały rozsypane wiązki na-pęczniałej od wody trawy. Ślizgali się po niej oboje ze Strączkiem, zanim zdolali uchwycić sznurek i wspólnymi siłami odsunąć pokrywę. Przez okrągły otwór ujrzeli nad sobą skrawek czystego, błękitnego nieba.

— Och, moi drodzy! — zawołała Dominika i powtórzyła to jeszcze parę razy, ale już całkiem innym tonem.

— Teraz musimy wdrapać się na wierzch — powiedział Strączek. — Tutaj na dnie nie mamy co robić...

Ale wgramolić się na szczyt czajnika nie było wcale łatwo; wspinali się po sznurku i ześlizgiwali z powrotem, wdrapywali się po szpilce od kapelusza i znów staczali w dół, układali tobołki jeden na drugim, ażeby utworzyć z nich schodki na górę, lecz nierówne tłumoczki nie dawały się spiętrzyć lub w ostatniej chwili uciekały im spod nóg — i dopiero po wielu bezowocnych

153

usiłowaniach, w momencie gdy czajnik raptownie przechylił się w bok i tak został dłuższą chwilę, udało im się wskoczyć na krawędź otworu, obok którego dyndała na sznurku odsunięta pokrywka.

Nad nimi było niebo bez jednej! chmurki, słońeczko rozkosznie grzało. Dominika uczepliła się kurczowo pałkowatej rączki i tak siedziała, z opuszczonymi w jedną stronę obiema nogami. Arietta siadła okraciem na samym brzeżku, a Strączek chcąc zachować równowagę czajnika usadowił się na krawędzi naprzeciwko Arietty i Dominiki. Czajnik płynął z prądem.

Dominika objęła wzrokiem rozciągające się przed nią rozlewisko.

— Istna pustynia! — zawołała ze zgrozą.

>*mmmm\mWffl9lum>'nwiw'M

—"†

&/AV//AM^/////^^^

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czajnik płynął teraz wolniej i łagodniej — tak jak znosił go nurt — w dół rzeki. Słońce stało wysoko na lazurowym niebie. Było już południe. Nie myśleli, że jest tak późno. Woda, błotnista i zanieczyszczona po ulewnym deszczu, przybrała teraz brzydki brązowożółty kolor i w niektórych miejscach wylała, zatapiając mielizny i kępy. Na prawym brzegu ciągnęły się rozległe pola, na lewym rosły karłowate wierzby i nieco wyższe od nich krzaki leszczyny. Ponad głowami Pożyczalskich, na tle nieba, drżały złociste bazie leszczynowe, a sitowie maszerowało w rzędach, jak żołnierze, w stronę wody.

— Zobaczcie, lada chwila zniesie nas z powrotem na brzeg — rzekł Strączek z nadzieją w głosie, patrząc na płynący coraz spokojniej nurt wodny. — Z jednej czy z drugiej strony — dodał po chwili. — Taki czajnik nie będzie przecież kotłował się na fali całą wieczność. W końcu gdzieś musi dopłynąć.

155

— Prawdę mówiąc — odezwała się Dominika — niewielką mam na to nadzieję...

Trzymała się już nie tak kurczowo uchwytu czajnika i z mimowolnym zainteresowaniem rozglądała się wokoło.

Nagle dał się słyszeć gdzieś niedaleko dzwonek roweru, a w chwilę później między zaroślami mignął hełm policjanta.

— Och, moi drodzy... — jęknęła Dominika, znów ogarnięta paniką. — Tam chodzi Człowiek...

— Nie bój się! — próbował uspokoić ją Strączek. — To przecież...

Lecz Arietta, gdy tylko spojrzała na ojca, zorientowała się, że i on także jest mocno zaniepokojony.

— Niech tylko raz spojrzy na wodę... a zaraz nas zobaczy! — przepowiadała Dominika.

— Ale jeszcze dotychczas nie spojrzał — uspokoił ją Strączek. — I w ogóle już go nie widać. Pewno odjechał. .

— A co ze Spillerem? — podjęła znów po chwili Dominika. — Co z nim będzie?

— Jak to: co ma być?

— On nas tu nigdy nie znajdzie!

— Dlaczego? — zapytał Strączek. — Zobacz, że czajnika nie ma... i domyśli się od razu. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać, aż dobijemy do brzegu. Do prawego czy lewego, wszystko jedno.

156

dL«^W^

— A co będzie, jeśli nie zatrzymamy się nigdzie?

— Jak to: nigdzie?

— No, jeśli prąd nas zniesie tak daleko... tak daleko, że...

— Spiller z pewnością będzie nas szukał.

— A jeśli nas zanieśie jeszcze dalej... do tego Małego Potoku... między Ludzi?

— Jakich Ludzi? Tych z gipsu?

— Nie, mój drogi! — rozłościła się Dominika. — Mam na myśli prawdziwych Ludzi... tych dużych, co chodzą po ścieżkach i drogach...

— Dominiko — próbował uspokoić ją Strączek — po co martwić się z góry?

— Z góry! — wykrzyknęła Dominika. — Ładnie mi z góry! A teraz co jest, chciałabym wiedzieć?... Nie mamy powodów do zmartwienia, co?

Rzuciła okiem na przemokłe siano, leżące na dnie czajnika.

— Jeszcze chwila, a woda przedostanie się przez dziurę do naszego czajnika! — przepowiadała z grobową miną.

— Zobacz, Dominiko, jaki ten korek jest na-pęczniały — tłumaczył jej Strączek. — Im bardziej nasiąkł wodą, tym szczelniej będzie trzymał. Chcesz nam pomóc? To siedź spokojnie i nie ruszaj się. Bądź przygotowana, że w odpowiedniej chwili trzeba będzie wyskoczyć. Nie będziesz się bała?

— Jak to: w odpowiedniej chwili?

158

— No, jak woda zniesie nasz czajnik i wyrzuci go na brzeg.

Mówiąc to, Strączek jednocześnie zginał swoją szpilkę do kapelusza, a potem owinął jej główkę kawałkiem sznurka i zawiązał supeł.

Arietta ułożyła się na krawędzi czajnika, plecami do góry, i patrzyła w wodę. Czuła się bezgranicznie szczęśliwa: popękana emalia była nagrzana od słońca, a wygięty, kabłąkowaty uchwyt, o który się opierała, gwarantował jej bezpieczeństwo. Raz ujrzała na wzbijającej się w górę fali zarys jakiejś wielkiej ryby: stała pionowo w wodzie i tak zabawnie wachlowała ogonem! Był to szalenie śmieszny widok. Gdzie indziej znów wśród lasu wodorostów śmigały malutkie rybki z migotliwą łuską — może płotki, a może jakieś inne?... Potem znów przepłynął tuż obok, prawie przed samym jej nosem, szczur wodny. Arietta krzyknęła uradowana, jak gdyby ujrzała wieloryba. Nawet Dominika wyciągnęła szyję, żeby popatrzeć: na jego ciemnym futrze świeciły, niby drogic kamienie, opalizujące banieczki powietrza. Patrzyli wszyscy troje z wielkim zainteresowaniem, jak szczur zgrabnie dopłynął do brzegu, wyskoczył, otrząsnął się z wody, rozpryskując dokoła siebie istną chmurę drobnutkich, świetlistych kropelek — i dał nura w gęstą trawę.

— Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego — zauważyła Dominika z podziwem.

Ale na tym nie skończyły się dla niej dziwne

159

tego świata: gdy podniosła głowę, zobaczyła — także po raz pierwszy w życiu — krowę. Stała spokojnie, prawie bez ruchu, wparta przednimi nogami w przybrzeżny muł. Dominice oczy rozszerzyły się ze strachu i nawet Arietta, choć mniej od niej bojaźliwa, była rada, że znajduje się w pływającym czajniku i że

oddziela ich od brzegu spory pas wody. Czuła się bezpieczna — tak blisko i tak daleko zarazem — gdy wtem prąd wody uniósł czajnik w górę, zakręcił nim i popchnął w stronę nadbrzeżnej skarpy.

— Och, moi drodzy.., — szcęknięła zębami Dominika, gdy czajnik raptownie przechylił się w bok.

— Stać! — krzyknął Strączek, tym razem na dobre wystraszony. — Nie ruszać się! Inaczej stracimy równowagę!

Arietta i Dominika tkwiły na jednej krawędzi czajnika, on zaś przechylił się całym ciężarem ciała przez drugą, przeciwległą krawędź, ażeby nie dopuścić do nierównomiernego obciążenia.

Czajnik raz jeszcze uniósł się na fali, zawirował wokół własnej osi — i w parę chwil później dołynął do brzegu; stuknął raz i drugi i csiadł na grząskim mule.

— No, przybiliśmy nareszcie! — stwierdził z ulgą Strączek, przybierając minę kapitana okrętu, któremu udał się trudny manewr.

Krowa cofnęła się o krok, gdyż czajnik wylądował tuż przed jej nosem. Pochyliła łeb i po-

160

wąchała czajnik, a następnie — jakby zniechęcona — machnęła ogonem i cofnęła się o dalsze dwa kroki.

Czajnik chwiał się i obijał o wypukłości i zagłębienia po krowich racicach, oblewany raz po raz przez nadbiegające fale. Emaliowana blacha drgała i dudniła miarowo pod naporem wody. W pewnej chwili Strączek przechylił się przez krawędź i trzymając się jej mocno jedną ręką, drugą wysunął wraz ze swą zakrzywioną szpilką od kapelusza i zaczepił ją o kamień.

Czajnik podskoczył jeszcze raz i drugi, po czym zarył się w muł przybrzeżny i znieruchomiał, teraz już na dobre, jak zakotwiczony okręt.

— Och, Strączku... — mamrotała Dominika. — Och* moi drodzy... moi dro...

Trzęsała się cała, blada jak płótno, i nie wypuszczała uchwytu ze swych obydwóch kurczowo zaciśniętych rąk, choć już nie było czego się lękać, gdyż czajnik przestał się chwiać i kołysać.

— Nie bój się! — uspokajał ją Strączek. — Już teraz nic ci nie grozi!

— A krowa? — szepnęła Dominika struchlała.

— Krowa nie robi ci nic złego.

— Może na nas nadepnąć.

— Nie zauważyła nas — odparł Strączek — a na cały czajnik na pewno nie nadepnie.

— A ja wam mówię — zawołała Arietta,

oglądając się za siebie — że ona nas widziała. Tak wytrzeszczała na nas ślepia i...

Całą uwagę skupili wszyscy troje na niebezpieczeństwie, jakim zagrażała im krowa — i nie przewidzieli, że czajnik oderwie się od tak wątlej kotwicy, jaką była szpilka od kapelusza zaczepiona o kamień, i że znów porwie go przyływ wody. Dominika straciła równowagę i z krzykiem upadła na dno. Nie zraniła się ani nie skaleczyła, gdyż spód czajnika był cały wymoszczony przemokłą trawą. Strączek zdążył jeszcze w porę uczepić się kabłąka, Arietta zaś odruchowo chwyciła Strączka za połę marynarki. Objąwszy ramieniem Ariettę, Strączek odwrócił się i ujrzał, że prąd znosi czajnik w stronę wysepki na samym środku rzeki. Drobne fale rozbijały się o skraj wysepki, wyglądającej z daleka jak jedno wielkie nieporządne usypisko patyków, gałązek i drewienek. Czajnik huśtał się na wodzie, przechylał i dygotał, i płynął nieuchronnie w jej stronę.

— No, teraz to już... — zaczął Strączek i urwał: i jemu także sytuacja wydawała się beznadziejna.

— Pomóż mi wstać, Strączku! — jęknęła Dominika.

Ale w tak krytycznym momencie Strączek nie zwracał na nią uwagi.

Dopiero gdy czajnik przyplłynął nieco bliżej wysepki, Strączek, przechylony przez jego krawędź, ujrzał, że oprócz patyków i gałązek prąd

naniósł na wysepkę mnóstwo śmiecia i poplątanych sznurków.

Ku wielkiemu zdziwieniu Arietty i Strączka Dominika wstała bez niczyjej pomocy, wspięła się po leżącej już teraz równo piramidce tobołków i będąc już przy samej krawędzi czajnika, rozejrzała się i zawołała:

— Mogło być gorzej!

Spodobała jej się widocznie budowa tej wysepki, przypominająca wyścielone różnymi rupieciami gniazdo; niektóre drewienka wyschły na słońcu i sterczały pionowo nad wodą.

— Zobaczycie, będzie nam tu lepiej — zawyrokowała — niż mogło być na tamtym brzegu. A już z pewnością lepiej, niż było w tym przeklętym czajniku! Prąd go znosi, pływa i pływa po wodzie, aż w końcu dopłynie do samego oceanu! A tutaj jest gdzie stanąć, przejść się, pospacerować... I co najważniejsze: Spiller znajdzie nas z łatwością. Ta wysepka leży na samym środku rzeki.

— Może i racja — przyznał Strączek po krótkim wahaniu.

I on także rozejrzał się dookoła: rzeka była w tym miejscu najszersza, brzegi rozstąpiły się daleko. Na lewym, bardziej stromym, wśród karłowatych wierzb, biegnących wzdłuż ścieżki dla pieszych, pochylał się nad wodą wysoki krzak leszczyny. Na prawym brzegu ciągnęły się pastwiska, a wśród nich stały

rzędem wysmukłe,

u*

163

krzepkie drzewa, chyba jesiony — tak jakby pełniły wartę pod wodą.

— Tak, to miejsce Spiller znajdzie z pewnością, znał je już chyba wcześniej. „Ale miejsce takie jak to — przemknęło Strączkowi przez myśl — upodobał sobie także pewno i Człowiek. Może przychodzi kąpać się, szukać ochłody w rzece. Może nazwał je jakoś po swojemu. Ludzie lubią takie zakątki...

Gdy Strączek uświadomił to sobie, dreszcz przeszedł mu po plecach. Doznał podobnego wrażenia, jak wówczas, gdy przeczuwał w pobliżu obecność Człowieka. Powiódł wzrokiem dookoła — i zauważył wiszący nad rzeką mostek.

mmnniwiłBliwim m

! K) i I ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Mostek był dość niepozorny — drewniany, z zielonymi liszajami mchu, z jedną tylko poręczą — ale dla Pożyczalskich każdy mostek, nawet najmniejszy, mógł być groźny: most to most, mosty buduje Człowiek, a buduje po to, żeby mógł po nich chodzić, a także przystawać i patrzeć na rzekę tak długo, jak będzie mu się chciało.

Jednakże Dominika, chociaż Strączek wskazał jej ruchem głowy mostek, jakoś nie przejęła się tym zbyt: osłaniając oczy dłonią, złożoną w kształt daszka, przed rażącym blaskiem słońca, patrzyła nie na mostek, tylko w dół, na rzekę.

— Z tej odległości żaden Człowiek — oceniła — nie dosięgnie naszej wysepki.

— Ale wystarczy, że coś zobaczy — poprawił ją Strączek. — Zauważy, że na wodzie coś się rusza i...

— Człowiek nie zauważy nas wcześniej niż my jego.

Wyskoczyli wszyscy troje i zaraz zabrali się

165

i a" **c

do wyciągania z dna czajnika przemoczonej odzieży. Imbryk przechylił się w bok i woda lała się z niego ciurkiem. Strączek przeczekał dłuższą chwilę, a potem kawałkiem sznurka przywiązał uchwyt czajnika do drucianej siatki, sterczącej z rzeki. Teraz już z pewnością czajnik będzie się trzymał i wszyscy troje będą mogli wchodzić i wychodzić przez górny otwór od pokrywki. Rozwiązali tobołki i powykładali swoje rzeczy, ażeby suszyły się na słońcu, a sami usiedli na gałązce olszyny i jedli, każde po plasterku banana.

— Mogło być gorzej — stwierdziła Dominika z pełnymi ustami, rozglądając się dookoła.

Była zadowolona, że jest tu tak cicho i że nareszcie przestało ją podrzucać w górę i w dół, jak to było dotychczas, kiedy czajnik huśtał się na wodzie. Widziała przed sobą pobłyskującą, ciemną rzekę, ale po pierwsze, nurt teraz był zupełnie spokojny, a po drugie, Dominika, siedząc na gałęzi wysoko jak na żerdzi, mogła mieć pewność, że fala tu jej nie dosięgnie. Arietta natomiast nie tylko nie bała się wody, ale wręcz ją ciągnęło do rzeki: zzuła pantofelki i zanurzyła stopy w wodzie, drobnymi falkami rozbijającej się o brzegi wysepki.

Rzeka szemrała, pełna tajemniczych szeptów i niezrozumiałych gawęd. A właściwie była to raczej jakby jedna długa, ciągnąca się bez końca, nieprzerwana rozmowa, głosy sączyły się monotonicznie, jak gdyby coś przedkładały, tłumaczyły,

16C

perswadowały — utrzymane wciąż w jednej i tej samej tonacji.

Po jakimś czasie Arietta przestała wsłuchiwać się w szmer rzeki; jednostajny szum podziałał na nią usypiająco. Jednakże walczyła z sennością, instynktownie starając się zachować czujność w nowych, nie znanych jeszcze warunkach. Na tej wysepce, na samym środku rzeki, czuła się mimo wszystko bezpieczna: do brzegu było zbyt daleko, ażeby jakieś stworzenie mogło zakraść się, dopęłznąć, zaatakować zniechacka. Mogło tylko przyplłynąć lub przyfrunąć... O! jak ten ptaszek — pewno sikorka — przyleciał nie wiadomo kiedy i przysiadł w pobliżu na małej gałązce. Siedział z przechylonym łebkiem i patrzył chciwie łcia okrągłą jak pierścień łupinkę po krążku banana, który przed chwilą zjadła Arietta. Dziewczynka schyliła się, podniosła skórkę od banana i rzuciła w ptaka tak, jak się rzuca kółko przy grze w serso — ale sikorka spłoszyła się i uciekła.

Arietta miała dość patrzenia w wodę i postanowiła zbadać, co jest na samej wysepce. Przeskakiwała z drewnienka na drewnienko, przebiegała pochylona pod splątanymi suchymi patyczkami, to znów wdrapywała się na wilgotne gałązki, strząsając z nich krople rosy. Było tu całe mnóstwo interesujących jam i dziur, rozległy wybór uchwytów do trzymania i wąziutkich ścieżynek, na których ledwo można było postawić stopę. Nad jej głową krzyżowały się patyczki, żakry-

T«7

wając gęstą siatką niebo, tak że promienie słońca przedzierały się przez nie z trudem.

Niebawem Arietta dotarła na drugi skraj wysepki i znów znalazła się nad wodą. Stała na cienistym brzegu i przechyliwszy się ujrzała w jej ciemnosrebrzystej, matowej powierzchni własne odbicie jak w lustrze.

Pod spodem mokrego liścia dostrzegła przylepionego ślimaka, a roztrąciwszy nieostrożnie nogą gniazdo kijanek, pośliznęła się na żabim skrzeku i omal nie wpadła do wody.

Próbowała chwycić ślimaka za rogi, ale ślimak skręcił się jak guma i skrył we wnętrzu muszelki.

— ArietkoS — rozległ się głos Dominiki. — Gdzie jesteś, Arietko? Chodź do nas! Tu jest sucho!

Lecz Arietta udawała, że nie słyszy. Była w tej chwili zajęta zbieraniem różnych rzeczy, które może będą mogły kiedyś się przydać: podniosła z ziemi barwne pióro kogucie i schowała. Znalazła mały kłębuszek wełny owczej, a potem przeciętą wpół piłeczkę pingpongową, pachnącą jeszcze celuloidem. Zadowolona z siebie wróciła do rodziców. Oboje byli zachwyceni jej zdobyczą — i Dominika zabrała się od razu do roboty: wypchała połówkę piłeczki pingpongowej wełną, obciągnęła z wierzchu kawałkiem płótna workowego — i miała gotowy fotelik, tyle że bez oparcia.

lfS

— Bardzo jest wygodny — oświadczyła, rozsiadając się na nim.

Na mostku ukazali się dwaj mali chłopcy wiejscy, dziewięcio- czy dziesięcioletni. Rozmawiali, śmieli się, gapili w wodę, rzucali do wody patyczki. Strączek, Dominika i Arietta, wszyscy troje, zamarli ze strachu, widząc, że chłopcy, przechyleni przez poręcz, obserwują patyczki płynące z nurtem. W każdej chwili mogli ich przecież zauważyć.

— Pójdą sobie zaraz — pocieszał Strączek Dominikę, ale i po nim można było poznać, jak bardzo jest wystraszony.

Słońce zachodziło, rzeka wyglądała teraz jak roztopione złoto. Arietta aż oczy mrużyła od tego blasku.

— Nawet gdyby nas zobaczyli — wyszeptwała, patrząc na mostek — to i tak nam nic złego nie zrobią... Jest tu bardzo głęboko, nie dostaliby się do nas.

— Tak, nie dostaliby się do nas — przyznał jej rację Strączek — ale gdyby nas zobaczyli, dowiedzieliby się o tym także i inni...

Wreszcie chłopcy odeszli. Mimo to Pożyczal-scy dalej zachowywali się bardzo cicho. Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w krzaki i łowiąc uchem każdy dźwięk, głośniejszy niż szum rzeki, w obawie, czy nie rozlegną się znów gdzieś blisko kroki Człowieka.

169

/

— Trzeba pomyśleć o spaniu — odezwał się Strączek. — Chodź, Arietko, pomożesz mi!

W zagłębieniu stały cztery patyczki, po dwa z każdej strony, w mniej więcej jednakowej odległości od siebie. Strączek postanowił rozwiesić na tych kółeczkach kawałek rękawa z nieprzemakalnego materiału i zrobić z niego hamak. U węzłowia położył garsteczkę wełny owczej, owiniętej w skrawek płótna workowego, ażeby służyła im za poduszkę, a nakryć się mieli czerwonym kocykiem, który zdążył już gruntownie wyschnąć. Takie legowisko miało wiele zalet: będzie im ciepło jak w kokonie, będą osłonięci przed deszczem i rosą, a co najważniejsze: niewidoczni dla tego, kto zatrzyma się na mostku.

Gdy woda w rzece zaczęła opadać, wysepkę jak gdyby wypchnęło ku górze. Przy samym jej brzegu,

wśród pogmatwanych gałązek i patyczków, ukazał się jakiś dziwny, ciemny kształt. Gdy przypatrzyli się bliżej, rozpoznali w tym kształcie nasiąknięty wodą but.

— Nic się z niego nie da uratować — stwierdził Strączek po chwili milczenia pełnego namysłu. — Co najwyżej: sznurowadło.

I ostrożnie zaczął zstępować ku wodzie. Dominika szła tuż za nim. Takie schodzenie w dół wymagało niemałej odwagi: Dominika wypróbo-wywała twardość każdej gałązki stopą, zanim na niej stanęła. Niektóre gałązki były przegniłe i łamały się przy najmniejszym dotknięciu, inne

vn

znów chwiały się, drżały i wyslizgiwały niebezpiecznie — słowem, ani jedno miejsce nie było pewne. Cała ta dziwna wysepka trzymała się tylko dzięki temu, że wszystkie te gałązki, drewnienka, patyczki, sznurki i wodorosty woda zbiła w jeden gęsty, splątany kłęb.

Stąpając ostrożnie krok w krok za Strączkiem, Dominika spostrzegła tuż nad wodą gałązkę nie rozkwitłego jeszcze głogu i mimochodem uszczknęła parę stulonych, bladozielonych listecz-ków.

„Przydadzą się na sałatkę do kolacji — pomyślała. — Nie można przecież żyć samym jajkiem i bananami...”

J

J> i i ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

U

Kolację zjedli na brzegu wysepki. Drobne fale rozbijały się u ich stóp. Poziom wody w rzece opadał z wolna i teraz już nurt wydawał się bardziej przejrzysty.

Kolacja nie była, niestety, obfita: koniuszek banana, który na domiar złego zrobił się bardzo lepki, a na deser — pączki nie całkiem jeszcze rozwiniętego głogu. Po tym skromnym posiłku wciąż jeszcze byli głodni, ale cóż mieli robić? Umyli się w zimnej wodzie, to ich odświeżyło. Wszyscy troje marzyli po cichu o Spillerze, wyobrażali sobie, że wróci w czółnie naładowanym po brzegi najrozmaitszymi specjałami. Zresztą — nie chodziło już nawet o smakołyki — byle nie czuć tego przykrego, ssącego głodu.

Pierwsza zaczęła mówić o Spillerze Dominika.

— A co będzie, jeśli on przyjedzie w nocy? — zastanawiała się. — Jak on nas znajdzie?

— Nie położę się tej nocy — oświadczył Strączek. — Będę na niego czekał.

- Och, Strączku! — jęknęła Dominika. — Powinieneś spać, i to całe osiem godzin!
- Ale nie dziś — rzekł Strączek — ani jutro. Muszę czuwać, kiedy jest pełnia księżyca.
- No, to będziemy czuwali wszyscy — postar nowiła Dominika. — Po kolei każde z nas.
- Tej nocy ja się nie położę — oznajmił Strączek zdecydowanie. — A co będzie potem — zobaczymy.

Dominika milczała i patrzyła w wodę. Cisza przedwieczorna działała na nią rozmarzająco. Na białe niebo wypłynął księżyc, ale ciepło nagromadzone w ciągu dnia wciąż jeszcze się utrzymywało. Krajobraz zalany był łagodnym światłem. Barwy były tak samo żywe jak w dzień, tylko jakby lekko przymglone.

- Co to jest? — zapytała Dominika nagle, wskazując na ruchomy, różowy punkcik na wodzie.

Strączek i Arietta popatrzyli we wskazanym przez nią kierunku. Rzeczywiście, tuż nad lustrem wody coś się poruszyło wijącym, węzowym ruchem.

- Robak — stwierdziła Arietta. — Pewno dżdżownica.

Dominika nie odrywała oczu od poruszającego się punkcika.

- Strączek miał rację — rzekła po dłuższej chwili namysłu. — Zmieniłam zdanie...
- O czym ty mówisz? — zapytał Strączek.

174

I

- Gdy patrzę na tego robaczka — mówiła dalej Dominika — to myślę sobie, właściwie dla-czegoż by nie? Jest czyściutki. Prosto z wody.

I dokończyła mężnie:

- Można go zjeść. Co w nim jest obrzydliwego?
- Jak to, tak na surowo? — zapytał Strączek, zaskoczony tą jej nagłą decyzją.
- Nie, dlaczego? — burknęła Dominika, już trochę niecierpliwie. — Można by na przykład ugotować w wodzie i dodać do smaku ząbek czosnku... Rośnie tu gdzieś chyba dziki czosnek, prawda?

Nikt jej nie odpowiedział. Dominika znów rzuciła okiem na wodę.

- #Co on tam robi? — zapytała naraz. Strączek wyciągnął szyję.
- Nic nie widzę.

Wyteżył wzrok — i nagle zmienił się na twarzy. Spojrzał trwożnie w stronę gęstych zarośli leszczyny na wysokim brzegu — i znieruchomiał.

— Co ty tam widzisz, Strączku? — zainteresowała się Dominika.

Strączek odwrócił głowę i popatrzył na nią. W oczach jego malowało się przerażenie.

— Tam ktoś... ktoś siedzi... — wyszeptał ledwo dosłyszalnie. — Człowiek!

— Człowiek?! — wykrzyknęły obie jednocześnie.

— Co robi? — zapytała po chwili Arietta.

175

— Łowi... ryby łowi.

— Gdzie?

Strączek wskazał ruchem głowy karłowate wierzbę.

— Tam... pod krzakiem.

I wtedy dopiero Dominika, idąc za jego wzrokiem, dostrzegła wygiętą linię wędki nad wodą. Arietta zauważyła po chwili krótki błysk w powietrzu — i żyłka wędki znów wyprężyła się i zamarta nad wodą, rzucając na fale wąziutki cień. Po chwili cień zniknął, wędka poderwała się i znikła wśród ciemniejszych zarośli.

— Nie widzę nikogo... — wyszeptała Dominika.

— Pewno, że nie widzisz... — odpowiedział jej również szeptem Strączek. — Pamiętaj, że pstrąg także ma oczy, takie same jak ja i ty...

— No, niezupełnie — zaprotestowała Dominika, lekko urażona.

— Wędkarz woli się nie pokazywać — wyjaśniał Strączek. — Musi być ostrożny, musi kryć się...

— Tak, musi kryć się — powtórzyła Arietta — szczególnie, kiedy uprawia kłusownictwo. Ale dlaczego oboje mówicie szeptem? Naszych głosów i tak nie usłyszy... wśród szumu rzeki.

— Masz rację, dziecko — przyznał Strączek. — Ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Nawet wobec kłusownika.

176

— Co to jest „kłusownik”? — zapytała Dominika.

Strączek przyłożył palec do ust.

— Pst! Ciszzej, Dominiko!

I po chwili dodał nieco zażenowany:

— Widzisz, to jest coś w rodzaju... jak by ci to powiedzieć?... No, tak jakby Pożyczalski-Człowiek.

— Pożyczalski-Człowiek?... — powtórzyła Dominika zaskoczona: w głowie nie mogły jej się pomieścić te dwa tak sprzeczne ze sobą pojęcia.

— Nie rozmawiajmy głośno — poprosił znów Strączek.

— Ale dlaczego? — upierała się Arietta. — Przecież on nas i tak nie słyszy. Siedzi na brzegu, a brzeg jest daleko.

Milczeli dłuższą chwilę wszyscy troje.

— Spójrzcie! — zawołała nagle Arietta. — Robak drgnął!

Tak, drgnął rzeczywiście. Po chwili wędka zatoczyła łuk w powietrzu.

— Zobaczmy, co będzie dalej — mówił Strączek, wciąż jeszcze szeptem, może tylko troszkę głośniejszym niż przedtem.

Wyężając wzrok śledził ruchy wędki: już to podrywała się w górę jak podcięta, już to nieruchomiła w powietrzu, już to kładła się prawie na fali. Różowy robak przepłynął tuż przed nimi i zatrzymał się nagle u ich stóp.

Po chwili coś śmignęło w wodzie, przemknęło

U — Pożyczalscy na wyspie

177

!" •*.

błyskawicznym cieniem, zatrzepotało — i robak zniknął im z oczu.

— Ryba? — zapytała Arietta z niedowierzaniem.

Strączek kiwnął głową zamiast odpowiedzi. Dominika podniosła się na palcach, zaciekawiona.

— Spójrz, Arietto — teraz możesz zobaczyć nawet haczyk!

Rzeczywiście, Ariettce udało się dostrzec błysk pustego haczyka w wodzie. Trwało to ułamek sekundy — i haczyk znikł.

— On to poczuł — rzekł Strączek, mając na myśli wędkarza. — Myśli, że chwyciła przynętę.

— Przecież naprawdę chwyciła — rzekła Arietta.

— Tak, ale nie dała się złapać. Porwała robaka z haczyka i uciekła... Będzie musiał założyć nową przynętę.

Stało się tak, jak Strączek przewidywał: w chwilę później ukazał się pod wodą inny robak, już nie taki różowy, dużo ciemniejszy od poprzedniego.

Dominika wzdrygnęła się.

— Nie, ten mi się nie podoba! Nie zjadłabym go za nic, choćby był nie wiem jak dobrze ugotowany i przyprawiony!

— Ciszej, Domiiiiiko! — zgromił ją Strączek, gdy robak przemknął w wodzie prawie pod ich nogami.

178

— Wiecie, co można by zrobić? — mówiła dalej Dominika, niezrażona, i tak jakby musiała koniecznie, i to zaraz, podzielić się z nimi nowym projektem. — Wiecie co — a może byśmy tak rozpalili ogień? Można by podebrać rybę z haczyka, usmażyć i zjeść...

— Wpierw ryba musiałaby znaleźć się na haczyku — ocenił trzeźwo sytuację Strączek. — A poza tym...

Nie dokończył. Krzyknął nagle i przechylił się w bok, instynktownie osłaniając twarz rękoma.

— Ostrożnie! — zawołał wystraszony.

Ale i tak było za późno: haczyk zaczepił o spódniczkę Dominiki. Skoczyli do niej oboje z Ariet-tą i tisiłowali ją przytrzymać, jednakże zabrakło im sił do walki z naprężoną w powietrzu żyłką. Dziki wrzask oszalałej ze strachu Dominiki rozbrzmiewał nad wodą.

— Rozepnij się, Dominiko! — krzyczał Strączek. — Zrzuć spódniczkę! Szybko, szybko!...

Lecz Dominika nie mogła — czy też nie chciała — tego zrobić. Może obezwładnił ją strach, a może niechęć do zrzucenia spódniczki łączyła się z faktem, że Dominika miała pod nią krótką, czerwoną, flanelową haleczkę — własność Ariet-ty — w której wyglądała dość śmiesznie. Czepiała się kurczowo to Strączka, to Arietty na przemian. Oboje, nawet wyężdżając wszystkie siły, nie mogli jej jednak utrzymać. Dominika wpała

12*

179

0 m \

się w brzeg wysepki, uczepiła gałązek i patyczków i broniła się rozpaczliwie, ażeby nurt jej nie porwał z sobą.

Wykorzystali moment, gdy napięta linka rozluźniła się nieco, i wyciągnęli Dominikę z wody. Arietta

przytrzymała ją za mały, czarny guziczek przy spódnicy, będący właściwie paciorkiem dżetu. Ale po chwili żyłka znów się napięła. Strączek zauważył, że Człowiek wynurzył się na całą wysokość: teraz stał na wysokim brzegu.

Z tej pozycji łatwiej było mu wyrzucać wędkę: poderwał ją znów jednym szybkim, gwałtownym ruchem, i nie tylko Dominika, ale wszyscy troje podskoczyli w górę i znaleźli się w powietrzu. Czarny dżetowy guziczek pękł na pół, spódnica zsunęła się i razem z robakiem poślizgnęła na haczyku, a oni zvalili się na kupę patyczków. Patyczki pod ciężarem ich ciał zapadły się w wodę, ale po chwili wynurzyły się znowu i Pożyczalskim nic się nie stało.

— No, dobrze, żeśmy się jakoś z tego wyka-raskali — rzekł Strączek, wyciągając nogę z gmatwaniny poplątanych patyczków.

Arietta siedząc masowała sobie ramiona: nic jej się nie stało, był to tylko dla niej wielki wstrząs. Dominika ucierpiała bardziej niż ona: na policzku miała grubą krechę od zadrapania, a w czerwonej flanelowej hałeczce — dużą dziurę o postrzępionych brzegach.

180

J

/-"

• - * •

— Jak się czujesz, Dominiko? — spytał Strączek zatroskany.

— Dobrze — odparła i kiwnęła głową, przy czym włosy upięte w kok rozplotły się i rozsypały.

Poblądła i drżąc machinalnie szukała szpilek od włosów, a jednocześnie rozszerzonymi ze strachu oczyma wpatrywała się w wysoki, stromy brzeg, na którym siedział wędkarz.

— Na szczęście patyczki dobrze trzymają — mówił Strączek, oglądając swoją skaleczoną łydkę i na przemian podnosząc i opuszczając nogę. — Żadnego złamania nie ma — stwierdził z satysfakcją.

Lecz Dominika nie zwracała wcale na niego uwagi. Jak urzeczona nie odrywała oczu od Człowieka.

— To Jednooki — stwierdziła po chwili ponuro.

Strączek przysłonił oczy dłonią, jak daszkiem, ażeby lepiej widzieć. Arietta zerwała się na równe nogi: Jednooki! Tak, nie mogło być żadnej wątpliwości: to ten Cygan, te same kształty wielkoluda, te same krzaczaste brwi, ta sama strzecha czarnych kędzierzawych włosów. To on.

— No, teraz to już z nami naprawdę koniec! — jęknęła Dominika.

Strączek milczał.

— Tu on do nas nie dotrze — odezwał się po dłuższej chwili. — Znajdujemy się na samym

środku rzeki, a woda jest bardzo głęboka z jednej i z drugiej strony wysepki. Nie, tu nas nie dosięgnie!

— A jak stanie w płytkim miejscu — biadała Dominika — wystarczy, żeby rękę wyciągnął, a już po nas!

— E, nie zrobi tego — usiłował zbagatelizować jej obawy Strączek.

— Zobaczmy nas — szepnęła struchlała Dominika, prawie bezdźwięcznie. — A jak zobaczy, to i pozna... Widział nas już przecież...

Nabrała tchu w piersi i dodała szybko:

— I tym razem nie wypuści... Wspomnicie moje słowa!

Zapanowała głucha cisza, mącona jedynie monotonnym pluskiem wody. Ten bezustanny, jednostajny szmer wydał im się naraz groźny i bezlitosny.

— Dlaczego on się nie rusza? — zapytała Arietta.

— Zastanawia się — odpowiedziała Dominika. — Może jeszcze sam nie wie, na co się zdecyduje.

Po długiej chwili milczenia Arietta odważyła się zadać nieśmiałe pytanie:

— Ile on może dostać za nas, jak sądzicie?

— Jak to: za nas? — zapytał Strączek. — Nie rozumiem.

— No, w wypadku... gdyby zechciał wsadzić nas do klatki... i sprzedać.

— Tak, zrobi to na pewno! — wtrąciła Dominika. — Co go przed tym powstrzyma?

Zamilkli wszyscy troje, zgnębieni.

— Patrzcie! — zawołała Arietta.

— Co takiego? — zapytał Strączek.

— Ściąga spódniczkę mamy z haczyka!

— Razem z robakiem? — zapytał znów Strączek. — Mów, bo ja stąd nie widzę!

— Zaraz...

— Uwaga! — krzyknął Strączek nagle, gdy Człowiek podniósł rękę. — Zarzuca na nas wędkę! Kryjmy się! Pod wodę!

Wysepka zadygotała pod nimi, jakby przebiegło przez nią kilka następujących jeden za drugim podziemnych wstrząsów. Po chwili uspokoiło się wszystko i tylko na falach widać było pływające luzem oderwane gałązki i oddzielne patyczki.

— Nie! — zaprotestowała Dominika. — Nie pod wodę! Bezpieczniej będzie na powierzchni niż pod wodą — wyjaśniła po chwili. — Wejdźmy lepiej do czajnika! Bo przecież...

Ale zanim zdążyła dokończyć, ponownie zarzucona wędka zaczepiła od góry korek, którym zatłoczony był zardzewiały otwór w czajniku, i wyrwała go stamtąd. Imbryk, z pałakiem przywiązany sznurkiem do drucianej siatki, wparty mocno w rusztowanie z gałązek, stawiał opór i nie dał się wyszarpnąć wędce. Zaniemówili z przerażenia i wpatrywali się w gałązki umykające

181

im spod nóg. Uwolniony korek skakał i tańczył na końcu żyłki, a wysepka znów zapadła się w wodę. Dominika, Strączek i Arietta, przytuleni ciasno do siebie, z rozszerzonymi trwogą oczyma, wsłuchiwali się w rytmiczne bulgotanie wody, wypełniającej czajnik.

Zarzucona znów wędka zaczepiła o gałązkę, na której stali. Ujrzeni przed sobą wyraźnie haczyk i rysującą się w górze, napiętą żyłkę. Strączek leżał spłaszczony na gałązce i starał się utrzymać aż do chwili, kiedy wędka choć trochę popuści. Lecz żyłka była wciąż jednakowo napięta, a haczyk siedział mocno.

Czuł się bezsilny, zdany na łaskę losu, razem z Ariettą i Dominiką. Wtem wydało mu się, że słyszy głos:

— Przetnij! Szybko przetnij!

— Żyletka! — zawołał głośnym szeptem do Arietty. — Dawaj żyłkę!

Arietta podsunęła mu błyskawicznie ułamane ostrze żyletki. Ciach! — jeden szybki ruch... i urwana żyłka zadyndała w powietrzu.

Byli ocaleni.

— Szkoda, że nie przyszło mi to wcześniej na myśl — zauważył Strączek po chwili.

Dla pewności rzucił okiem na wysoki brzeg. Jednooki związał wędkę. Żyłka, pozbawiona haczyka, wlokła się smętnie po ziemi.

— Nie jest zadowolony — stwierdziła szeptem Dominika.

185

0 m

— A z czego ma być? — odparł krótko Strączek, siadając obok niej.

— Drugiego haczyka chyba przy sobie nie ma? — pocieszała się Dominika.

Wszyscy troje obserwowali z daleka Jednookiego: oglądał żyłkę, podsuwał pod same oczy jej odcięty koniec, wreszcie pokiwał głową i łypnął złowrogo jednym okiem.

— Nie popuści nam — rzekł Strączek, głęboko zatroskany. — Będzie nas szukał.

&mmmmmw*ummmwi'ł'"M'L

f,j*,/MMmm/mmjj,ji/i/tMnuiinMi\\ivci

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Usadowili się wygodnie na patyczkach. Trzeba było jednakże pomyśleć o noclegu. Dominika dygotała — ze strachu czy może tylko od wieczornego chłodu? Arietta przyniosła czerwony kocyk i troskliwie okryła jej kolana.

— Powiedz, Strączku — poprosiła Dominika po chwili milczenia — co on teraz robi?

Strączek wpatrywał się dłuższą chwilę w przeciwległy brzeg, zanim zaczął opowiadać po kolei:

— Teraz — zrobił parę kroków... złożył wędkę... zabiera się stąd! Odchodzi! Idzie w kierunku krzaków! Już go nie ma! Znikł mi z oczu!

— Myślisz, że nie wróci? — spytała Dominika, z cichą nadzieją w głosie.

— Nie wiadomo — odparł Strączek z pewnym ociąganiem. — Kto inny może by nie wrócił... ale on... Wie, że my tu jesteśmy... Będzie chciał to wykorzystać...

— Przecież do nas się nie dostanie — mówiła Dominika. — Znajdujemy się na samym środku rzeki. I tutaj jest bardzo głęboko. Nie, na pewno

187

nie przyjdzie. Będzie się bał. Niedługo zrobi się ciemno.

— Ale noc będzie księżycowa — odparł ostrożnie Strączek. — A musimy tu zostać do samego rana.

Podnosząc w górę żyletkę, dodał:

— Ten czajnik też właściwie można by już odciąć. Żadnej z niego pociechy. Tylko tyle, że kładzie się całym ciężarem na patyczkach...

Zamachnął się i jednym ruchem ręki przeciął sznurek. Zwolniony z uwięzi imbryk brzęknął i stoczył się w wodę.

— Biedny Spiller — westchnęła Arietta. — Tak lubił ten swój czajnik...

— Długo mu służył — przyznał Strączek.

— A gdybyśmy sklecili tratwę? — zaproponowała nagle Dominika.

Strączek rozejrzał się dookoła: drewna nie zabraknie, a sznurek do wiązania trzymał w ręku.

— Dobra myśl — przyznał. — Można by zrobić tratwę, tylko trzeba by na to trochę więcej czasu. A mając nad głową jego — zerknął w stronę krzaków — jesteśmy równie bezpieczni tu, jak gdzie indziej...

— Tu jednak będzie najlepiej... — wtrąciła Arietta. — Łatwiej nas zauważyć.

Dominika odwróciła się i spojrzała na nią zdziwiona.

— Jak to? Zależy ci na tym, żeby cię zauważył?

188

— Chodzi mi o Spillera — wyjaśniła Arietta. — Jest taka ładna pogoda i noc będzie księżycowa... Pewna jestem, że on dziś jeszcze przybędzie!

— Możliwe — zgodził się Strączek.

— Och, moi drodzy! — jęknęła Dominika, owijając się szczelnie kocykiem. — Co on sobie o mnie pomyśli? Co on sobie pomyśli, gdy zobaczy mnie w czerwonej haleczce Arietty?

— Na pewno tego nawet nie spostrzeże — rzekł Strączek. — Będzie myślał, że to spódniczka w czerwonym kolorze.

— Taki głupi nie jest — odpowiedziała Dominika i po chwili, westchnęła: — I do tego jeszcze ta wielka dziura na samym środku!...

— O ile znam Spillera, nie będzie się nad tym zastanawiał — rzekł Strączek. — Mało ma dziur na swoich własnych spodniach?

I po chwili dodał:

— Wielka szkoda, żeśmy zatopili imbryk. To było bardzo nierozważne. Swój czajnik spostrzegłby od razu, nawet z daleka. No cóż, teraz nie ma na to rady...

— Spójrzcie! — zawołała naraz półgłosem Arietta, wskazując na stromy brzeg rzeki.

Stał tam Jednooki, w całej okazałości. I był teraz — niestety — jeszcze bliżej niż przedtem. Obszedł widocznie zarośla od tyłu i wynurzył się tuż obok krzaków leszczyny. Na ich ciemnozielonym tle sylwetka jego rysowała się wyraziście.

189

k* t ~ * *

Stał tak przerażająco blisko, że mogli widzieć jego oczy: jedno ciemne i żywe, drugie na pół przykryte opadającą powieką. Mogli widzieć miejsca spojenia na wędzisku i zwój sznurów do wieszania bielizny, i kilkanaście kołeczków do przytrzymywania jej w czasie suszenia, leżących w koszyku, który nosił

przewieszony przez rękę i przechylony w ich stronę. Gdyby dzieliła ich od niego nie woda, lecz suchy ląd, wystarczyłyby cztery duże kroki, ażeby znalazł się obok nich.

— Och, moi drodzy! — jęknęła swoim zwyczajem Dominika. — Co z nami będzie?

Jednooki oparł wędkę o krzak leszczyny, postawił na ziemi koszyk, wyjął z niego dwie spore rybki, związane sznurkiem przewleczonym przez skrzelą, i owinął je starannie paroma warstwami liści końskiego szczawiu.

— Pstrąg... tęczowy — zauważyła szybko Arietta.

— Skąd ty to wiesz? — zdziwiła się Dominika.

Arietta zamrugnęła powiekami.

— Wiem, i już — odpowiedziała wymijająco.

— Domyślam się! — rzekł Strączek. — To ten chłopiec... Tom, wnuk gajowego. I od niego pewnie dowiedział się także i o kłusownikach... co, przyznaj się, Arietto?

Dziewczynka nic nie odpowiedziała: patrzyła, jak Jednooki wkłada z powrotem ryby do ko-

190

szyka. Wyścielił dno liśćmi, złożył na nich dwa zwinięte sznury do wieszania bielizny i dopiero na szczycie tego stosu ulokował rybki.

— Boi się, żeby mu nie uciekły! — roześmiała się Arietta na cały głos.

— Tss! — syknęła Dominika. — Ciszej! Jeszcze za wcześnie na śmiechy!

Jednooki zbliżył się aż do skraju urwiska. Siadł — i zaczął ściągać z nóg buty.

— Och, Strączku — pisnęła Dominika. — Widzisz te buty? Poznajesz je? To te same, prawda? Pamiętasz mieszkaliśmy w jednym z nich! Który to był, Strączku: prawy czy lewy?

— Ten z łatką — odparł Strączek, ożywiając się nagle. — Bez łodzi chyba się tu nie dostanie...* — dodał w zamyśleniu.

— Łatkę tyś przyszył, Strączku...

— Ciszej, Dominiko — poprosił Strączek, zniżając głos, gdyż zobaczył, że Jednooki, już boso, zawija nogawki spodni. — Bądź gotowa do ucieczki... w każdej chwili!

— I pomyśleć, że ja tak lubiłam ten nasz but! — westchnęła głośno Dominika.

Nie mogła oderwać oczu od butów — a szczególne wrażenie zdawał się wywierać na niej fakt, że była ich para i że oba stały tuż obok siebie, starannie ustawione na trawie.

Cygan, przytrzymując się jedną ręką leszczyny, wszedł do wody. Sięgała mu zaledwie do kostek.

191

0 m

— Och, moi drodzy! — jęknęła Dominika i zęby jej zaszczekały ze strachu. — Uciekajmy lepiej już teraz!...

— Czekaj jeszcze! — krzyknął na nią Strączek. — I uważaj!

Przy następnym kroku Jednooki zanurzył się po kolana, przy czym przemokły mu odwinięte nogawki spodni, potem przystanął, jakby nie bardzo wiedział, co dalej robić — a gałęzi leszczyny nadal nie wypuszczał z ręki.

— Wyobrażam sobie — szepnęła Arietta — jaka ta woda musi być zimna!

Jednooki patrzył prosto na nich, jak gdyby w myśli odmierzał dzielącą ich odległość, potem odwrócił głowę i objął wzrokiem cały brzeg. Przesuwając rękę wzdłuż zwisających nad wodą gałęzi leszczyny, przybliżył się o jeszcze jeden krok. Teraz już woda sięgała mu do połowy ud#. Podskoczył w miejscu, zapewne zrobiło mu się zimno od wody przenikającej przez spodnie. Rzucił okiem na gałąź nad swoją głową. Była już tak przygięta, że mogła ułamać się lada chwila; nie zapewniała więc bezpieczeństwa, gdyby zechciał wejść jeszcze głębiej. Trzymając się jedną ręką gałęzi, drugą wyciągnął w ich stronę, schylił się i...

— Ach, moi dro... — stęknęła prawie bezgłośnie Dominika, gdy straszna ciemna twarz zbliżyła się.

192

13 —

3 • 1 1 1 * <

Rozcapierzone palce już, już sięgały po nich. Jeszcze chwila, jeszcze chwila, a...

— Nie bój się! — powiedział szybko Strączek. — Nic nie robi!

Jednooki zachował się tak właśnie, jak gdyby usłyszał te pocieszające słowa. Słyszeli jego głośny oddech, widzieli już nad sobą jedno wielkie, czarne oko. Woda bulgotała w pobliżu mokrych spodni z prążkowanego welwetu.

Strączek chrząknął cicho. Jednooki podniósł głowę — wydawało im się, że na chwilę wstrzymał oddech, jakby nasłuchiwał — po chwili zawrócił i trzymając się jedną ręką zwisającej gałęzi, niezgrabnie wymacał stopami śliskie dno rzeki. Gałąź skrzyknęła niepokojąco, puścił ją więc i brnąc wśród pluskających fal, dotarł z powrotem do brzegu. Stał wreszcie zasapany, otrząsając się jak pies z ociekającej wody. Wreszcie siadł na brzegu, z opuszczonymi bosymi nogami, i w zamyśleniu zaczął skręcać papierosa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

I poklepał Dominikę po ramieniu.

— Spójrz na niego teraz!... — wyszeptała Dominika. — On ciągle nad czymś myśli.

— A gdyby Spiller teraz właśnie przyплыł? — zapytała Arietta, wpatrując się z utęsknieniem w dal.

— Nie odważyłby się przepłynąć tuż przed samym nosem Jednookiego — rzekł Strączek. — Gdyby dostrzegł nas z daleka, gdyby zobaczył, że jesteśmy zdrowi i cali, ukryłby się i czekał, aż noc zapadnie. Minałby nas, przycumował łódź

13*

195

gdzieś po drugiej stronie naszej wysepki i czekał, aż będzie ciemno, żeby nas stąd zabrać. Liczę na jego bystrość i rozum i głowę daję, że Spiller zachowa się właśnie tak, a nie inaczej.

— Ale dzisiaj noc wcale nie będzie ciemna — zauważyła Arietta. — Przecież będzie świecił księżyc!

— Księżyc czy nie księżyc — rzekł Strączek — Jednooki nie będzie tu siedział całą noc. Na pewno niedługo poczuje głód. I o ile dobrze zgaduję, co on myśli, uważa, że i tak jesteśmy tu zablokowani, liczy więc na to, że nie będziemy mogli ruszyć się stąd aż do samego rana — więc tak jakby już miał nas w kieszeni. Gdy się rozwidni, przyjdzie tu, przyniesie od razu wszystkie odpowiednie przybory i...

— Co to znaczy „odpowiednie przybory”? — zapytała Dominika.

— Jeśli nie znajdzie nas jutro — odparł Strączek — to nigdy nie będziesz miała potrzeby dowiedzieć się, co znaczą te słowa.

— A skąd on wie, że nie umiemy pływać? — zapytała Arietta.

— Wie tak samo, jak my wiemy, że on nie umie: gdyby umiał, toby pływał. Prosty wniosek.

Cała trójka obserwowała uważnie Jednookiego, który z papierosem przyklejonym do kącika warg grzebał w koszyku, wśród zwiniętych w kłębek sznurów do bielizny.

196

— Och, moi drodzy — zawołała Dominika — widzicie, co on robi? Wyciąga jakieś grube sznury! Bardzo mi się to nie podoba, Strączku. Wygląda — Dominika zaczerpnęła tchu, zanim dokończyła — jakby to były właśnie te jego „odpowiednie przybory”.

— Siedź spokojnie, Dominiko — upomniął ją Strączek.

Jednooki, wciąż z papierosem w ustach, powoli rozwijał zwoje sznura, układającego się sztywno na ziemi jak długi wąż. Trzymając jeden koniec sznura w ręku, patrzył na pień karłowatej wierzby, jakby w myśli przymierzał do niej ten sznur.

— Już wiem, co on chce zrobić — wyszeptała Dominika.

— Uspokój się, widzimy przecież wszyscy. Ale... — Strączek przymrużył oczy i patrzył, jak Jednooki obwiązuje sznurem pień wierzby — nie wiem jeszcze, do czego on zmierza...

Potykając się o sterczące korzenie, Jednooki sprawdził, czy supeł na pniu wierzby trzyma dość mocno, po czym odwrócił się twarzą do rzeki i stał parę chwil, jakby wpatrując się w przeciwny brzeg. Pożyczalscy śledzili bacznie każdy jego ruch.

— Chce przerzucić ten sznur na drugi brzeg... — wyszeptała ledwo dosłyszalnie Dominika. — Zobaczycie, robi to, moi drodzy!...

Odgadła — i skuliła się instynktownie, gdy

197

ii

sznur ze świstem przeleciał nad ich głowami. Jednakże na przeciwnym brzegu nie wylądował: puszczony luźno, o włós ominął ich wysepkę i chlusnął w wodę.

— Dobrze byłoby uchwycić się... — wyszeptała Dominika, ale zanim zdążyła skończyć zdanie, nurt porwał wlokący się po wodzie sznur i poniósł dalej.

Jednooki znikł im z pola widzenia. Po jakimś czasie ukazał się znów, ale już gdzieś dalej, prawie pod samym mostkiem.

— Nie mogę zrozumieć — mówiła Dominika — po co on to robi. Zamierza chodzić boso po linie czy co?

— Zgadłaś, ale niezupełnie — rzekł Strączek. — Ten sznur ma służyć mu jako ubezpieczenie. Będzie przesuwiał się, trzymając się go obiema rękami. I ja robiłem tak kiedyś, gdy

chciałem przenieść się z fotela na stół, a było za daleko, żeby przeskoczyć.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, jeśli będzie musiał trzymać się sznura obiema rękami — rzekła Dominika — to w takim razie... jak może nas złapać? Chyba nie bosymi nogami!

— Nie będzie musiał trzymać się sznura przez cały czas, aż do drugiego brzegu — snuł głośno przypuszczenia Strączek, a w głosie jego brzmiał teraz wyraźny niepokój. — Musi tylko mieć coś dłuższego i mocniejszego niż gałąź leszczyny, ażeby móc nas zagarnąć. Był już tak blisko naszej

198

wyspy, kiedy brodził po wodzie, a jednak nas nie dosięgnął.

Jednooki przeszedł przez mostek na drugi brzeg, wyciągnął z wody sznur i uniósł go nieco w górę. Rozprysnięte krople nagle trysnęły im prosto w twarz. Teraz Jednooki obwiązał drugim końcem sznura pień wysokiego jesiona i zacisnął podwójny supeł. Sznur wyprężył się tuż nad ich głowami — sztywny, napięty, groźny.

— Utrzyma nie jednego, ale paru mężczyzn — szepnął Strączek.

— Och, moi, drodzy... — jęknęła Dominika. — Ten supeł nie da się rozwiązać.

— W pośpiechu na pewno się tego nie zrobi — odparł Strączek, a głos jego brzmiał ponuro.

Jednooki stał na moście dłuższą chwilę i patrzył na przeciągnięty nad wodą sznur, jakby podziwiał dzieło własnych rąk. Teraz już się chyba nigdzie nie spieszył.

— Czy on może nas z tego mostka widzieć? — zapytała szeptem Dominika, przymykając oczy.

— Chyba nie — odparł również szeptem Strączek. — Jeśli będziemy siedzieli całkiem nieruchomo. Co najwyżej zauważy twoją czerwoną haleczkę.

— Ale to przecież chyba nie ma znaczenia? — zaniepokoiła się Dominika.

— Nie ma żadnego znaczenia — zgodził się skwapliwie Strączek. — Najlepiej będzie przenieść się na drugi koniec wysepki i niech każde

199

0 m

z nas znajdzie sobie jakąś dobrą, mocną gałązkę i usiądzie tak, żeby móc się na niej utrzymać. Może on będzie chciał nas złapać, a może nie będzie chciał — w każdym razie musimy być przygotowani na najgorsze.

Znaleźli trzy spore gałązki, dość grube, ażeby mogły unieść ich ciężar na wodzie, i z odpowiednią ilością sęków, które służyłyby jako uchwyty dla rąk. Strączek pomógł Dominice sięść na gałązce okrzakiem:

trzęsła się i dygotała tak, że omal nie straciła równowagi.

— Och, mój drogi! — jęczała. — Nie masz pojęcia, jak ja się teraz czuję... Jakbym wdrapała się na wysoką grzędę... Czy naprawdę musimy się rozdzielić?... Wolałabym, tysiąc razy wolałabym, żebyśmy byli razem!

— I tak będziemy blisko siebie — odparł Strączek. — A może w ogóle uda nam się nie rozłączać. Uważaj, co powiem: trzymaj się mocno gałązki i nie puszczaj jej z rąk, żeby nie wiem co się stało, nawet gdybyś wpadła do wody. Pamiętaj!

Arietta lekko wskoczyła na swoją gałązkę, tak jak się wsiada na rower: miała oparcie zarówno dla rąk, jak i dla nóg. Czuła się dziwnie spokojna i pewna: gdyby nawet gałązka złamała się pod nią, nie utonie, trzymając się jej obu rękami i poruszając nóżkami jak wiosłami.

— Rozumiesz — tłumaczyła matce — zupełnie jak żuk wodny...

200

Ale Dominika, której kształty, bardziej niż smukła sylwetka Arietty, przypominały żuka wodnego, nie znalazła w tych słowach żadnej pociechy.

Strączek usadowił się na zaokrąglonej, jakby toczonej gałązce olszyny.

— Kierujemy się w stronę tamtego brzegu — powiedział, wskazując ruchem głowy wysoki jesion. — Widzicie ten zwisający koniec sznura? Starajcie się go uchwycić. Albo któregoś z tych krzaków, nachylonych już nad wodą... zależnie od tego, w którą stronę prąd nas zniesie.

Dominika, siedząc wysoko na brzegu na swej gałązce, mogła obserwować Jednookiego i dzielić się ze Strączkiem i Ariettą dokonanymi spostrzeżeniami.

— Znow idzie... — stwierdziła.

Jej głuchy, bezdźwięczny głos brzmiał przerażająco spokojnie.

Widzieli teraz wszyscy troje, jak Jednooki ściąga obiema rękami linkę w dół i obniża tak, żeby znalazła się jak najbliżej wody. Postawił ostrożnie najpierw jedną nogę, potem drugą — woda sięgała mu już do połowy uda. Przystanął, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Pewno chciałby mieć trochę dłuższe nogi — bąknął Strączek cicho.

Jednooki oderwał jedną rękę od przeciągniętej liny, pochylił się i ostrożnie wysunął ją przed siebie. Poruszył kilka razy palcami w powietrzu,

201

jakby w myśli obliczał dzielącą go od Pożyczal-skich odległość. Sznur, choć silnie naprężony, teraz, pod jego ciężarem, wygiął się pośrodku, a listki karłowatej wierzby przygiętej do brzegu niebezpiecznie

zaszeleściły. Jednooki obejrzał się za siebie, zapewne, żeby sprawdzić, czy drzewo nie złamie się i wytrzyma. Ale zmrok już zapadł i z daleka nie mogli dojrzeć wyrazu jego twarzy. Gdzieś na brzegu krowa ryknęła smutno i zadźwięczał dzwonek roweru. Gdyby teraz Spiller przyłynął...

Jednooki stał przez chwilę bez ruchu, z rozcapierzonymi palcami, zanim zdecydował się postąpić jeszcze jeden krok. Woda była coraz głębsza i ich pływająca wysepka znalazła się na poziomie jego piersi. W chwilę później wysepka nagle drgnęła. Nie widzieli już nad sobą rozcapierzonych palców, usłyszeli natomiast, jak trzasnęły gałązki i patyczki. Widocznie Jednooki w tym momencie przyciągnął całą wysepkę do siebie.

— Och, Strączku! — wykrzyknęła Dominika w momencie, gdy poczuła bezlitosne szarpnięcie niewidocznej ręki i usłyszała szelest i chrzęst gałązek. — Przez całe życie byłeś dla mnie taki dobry! Nigdy ci tego nie mówiłam, nigdy ani razu — a ty byłeś dla mnie zawsze taki dobry!

Urwała nagle, gdyż wysepka gwałtownie pochyliła się w bok, uderzając w zaporę z drucianej siatki. Dominika w popłochu wczepiła się

202

kurczowo obiema rękami w gałązkę, na której siedziała. Po chwili rozległ się głuchy trzask i dwa sterczące na zewnątrz patyki zsunęły się ku sobie i popłynęły wraz z nurtem rzeki.

— Żyjesz, Dominiko? — zapytał Strączek.

— Ledwo, ledwo... — wysapała z trudem.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jednooki pochylił się, chcąc przychwycić wysepkę — i nagle, z wyrazem najwyższego zaskoczenia na twarzy, zachwiał się i upadł. Wraz z nim plusnęła w wodę wysepka czy też, jak zdawało się Dominice, na wysepkę z wielką siłą lunęła woda. Dominika już otwierała usta, ażeby krzyknąć, ale zdążyła je jeszcze zamknąć w porę. Banieczki powietrza, a także szczątki drewnianek przepływały tuż obok jej twarzy. Nie wypuściła jednak z rąk gałązki, której trzymała się kurczowo aż do momentu, kiedy wysepka wynurzyła się z wody. Krztusząc się i ciężko dysząc, Dominika także wypłynęła na powierzchnię. Siłą impetu padła w tył i znów ujrzała korony drzew, wschodzący księżyc i przymglone zmierzchem niebo.

— Strączku! — zawołała rozpaczliwie.

— Jestem tu! — rozległ się zdławiony głos za jej plecami. — Arietta też. Trzymaj się mocno, tak jak ci mówiłem! Wysepka się rusza...

Istotnie, wysepka dryfowała i kręciła się wokół własnej osi. Pełnymi wdzięku, kulistymi ruchami woda znosiła ją w stronę brzegu, na któ-

203

• « •

rym stał wysoki jesion. Dominika zorientowała się, że to Jednooki, padając, mimo woli zepchnął ten cały kłęb patyków na wodę.

Zatrzymali się tuż w pobliżu przybrzeżnej skarpy. Widzieli teraz wyraźnie przed sobą pień drzewa wraz z kawałkiem zwisającego sznura. Strączek i Arietta z trudem wdrapywali się na brzeg, a za nimi gramoliła się Dominika, raz po raz potykając się na oślizłych korzeniach. Wtem ujrzała, że Arietta chwytła ojca za rękę, i usłyszała jej drżący z podniecenia głos:

— Tam jest... tam jest...

Strączek odwrócił się i podał rękę Dominice. Był jakby czymś zaskoczony. Spory, podłużny, ubłocony kawałek drewna przylepił mu się do pleców i wyglądał jak warkoczek.

— Co to? — zapytała Dominika, łapiąc go za rękę. — Co się stało?

Usłyszeli z daleka krzyk: to Jednooki wciąż taplał się w wodzie, nie mogąc znaleźć oparcia dla nóg.

— Teraz już nic — odparł Strączek. — Nie będzie się nami więcej zajmował. W każdym razie — dziś już na pewno nie.

— Co to było, Strączku? Lina pękła — czy co innego? Może drzewo...

— Chyba lina pękła — rzekł Strączek. — Nie wiem tylko, w jaki sposób. Idź do Arietty!

Ruchem głowy wskazał miejsce na brzegu, na którym stała dziewczynka.

204

r

— Ona mówi, że widziała... czółno Spillera.

— Gdzie?

— Tam, pod krzakami.

Dominika, uczepiona ramienia Strączka, stanęła obiema nogami na ziemi.

— Tak, tak, na pewno! — wołała Arietta uradowana; stała nieco wyżej na spadzistej skarpie. — Widzę! Coś tam płynie... wygląda jak klocek!

— Wygląda jak klocek? — zapytał Strączek. — To jego pudło!

— Spiller! — zawołała Dominika na cały głos.

— Niedobrze! — westchnął Strączek. — Żadnej odpowiedzi. Gdyby to był on, już by się odezwał.

!# przyłożywszy do ust obie dłonie, złożone w kształcie trąbki, zawołał jeszcze raz:

— Spiiiiiller!!

Ale znów nic nie usłyszał.

— Co to jest? — krzyknął po chwili, odwracając się.

Jakieś światełko błysnęło na przeciwległym brzegu, w pobliżu przeciągniętej liny.

— Ktoś idzie... — wyszeptał zatrwożony. Usłyszeli nagle dzwonek roweru, a w chwilę

później zgrzyt, tak jakby gwałtownie zahamował rower. Jednooki zaklął gniewnie i stojąc w wodzie znieruchomiał.

Zapanowało głucho milczenie, mącone tylko jednostajnym pluskiem fal. Dominika już otwie-

205

• « •

• «;

rała usta, żeby coś powiedzieć, lecz Strączek chwycił ją ostrzegawczo za ramię.

— Cicho bądź! — nakazał szeptem.

Człowiek na przeciwległym brzegu przedzierał się z trudem przez krzaki. Światełko błysnęło znowu i zatoczyło jasny krąg dookoła. Tym razem było bardziej oślepiające niż poprzednio, a gdy zgasło, zmrok wydawał się już nie ciemnoszary, tylko całkowicie czarny.

— Hallo... hallo... hallo... hallo! — rozległ się młody głos, pogodny i poważny jednocześnie.

Ten głos wydał się Dominice dziwnie znajomy, choć w pierwszej chwili nie mogła przypomnieć sobie, do kogo należy.

I nagle — coś jej zaświtało w głowie. Przypomniła jej się ostatni dzień w domu zwanym „Stokrotką”, we Wrzosowym Wzgórzu, tam gdzie długi czas mieszkali w kuchni pod podłogą. Tak, to był straszny, pamiętny dzień, kiedy wykurzono ich, wykadzono stamtąd dymem. Świadkiem tego okropnego wydarzenia był wówczas młodziutki policjant, Ernest Pałeczka, ten sam, którego tak bardzo nie lubiła kucharka Dorota.

Dominika odwróciła się do Strączka i chciała mu to powiedzieć, ale on przyłożył palec do ust i szepnął ostrzegawczo:

— Cicho!

Drżący krążek światła ślizgał się po wodzie. Wiedzieli wszyscy troje, że jeśli zastygną nieporuszeni, nikt ich nie zobaczy.

Lecz Dominika — niepoprawna! — wydała nagle przeciągły okrzyk:

— Och, Strącz...

Strączek zasłonił dłonią jej usta, a drugą ręką uszczypnął ją w ramię.

— Psst! — syknął.

— Nasze... nasze nożyczki! — wyszeptała Dominika, nie mogąc się mimo wszystko pohamować. — Spójrz tam: na drzewie wiszą nasze nożyczki... Jedno ostrze... widzisz?

Strączek powiódł oczyma dookoła: i rzeczywiście, na drzewie wisiało błyszczące na ciemnej korze ostrze nożyczek. Widocznie zostało przywiązane do końca sznura, który Jednooki zostawił 2?wisający luzem.

— To znaczy — szeptała Arietta przejęta — że to było jednak czółno Spillera!

— Uspokój się! — napominał ją Strączek. — Bądź cicho... przynajmniej do chwili, aż zniknie światło!

A tymczasem na przeciwległym brzegu Ernest Pałeczka wziął się ostro do Jednookiego.

— Co tu się dzieje? — pytał suchym, urzędowym tonem. — Co to ma znaczyć? Ryby się łowi? A karta wędkarska jest?

I snop światła — zapewne z latarki ręcznej — przestał ślizgać się po wodzie i zatrzymał się na twarzy Cygana.

Strączek odetchnął z ulgą. .

• !,

mmi

— Och, jak to dotrze! — zawołał półgłosem, zadowolony z takiego obrotu rzeczy.

— Ale gdzie Spiller? — dopytywała się Dominika.

Zęby szczykały jej z zimna — czy też może wciąż jeszcze nie mogła opanować lęku po przeżytych wzruszeniach.

— Spiller był tu z pewnością! — przekonywała gorąco Arietta. — To on powiesił nożyczki na drzewie. Pamiętam, zawsze nosił je na ramieniu jak strzelbę.

— Widziałas go?

— Spillera nikt nie zobaczy, jeśli on nie zechce.

— Tak, on potrafi dostosować się kolorem do otoczenia — potwierdził Strączek — żeby nie można było

go zauważyć.

— Nie widziałaś go przecież, Arietko — podjęła po chwili Dominika — więc skąd masz pewność, że tu był?

— Całkowitej pewności mieć nie możesz — dodał Strączek.

— A ja wam mówię, że był! — powtarzała Arietta z głębokim przekonaniem. — Możecie mi wierzyć!

Dominika zastanawiała się dłuższą chwilę, zanim powiedziała:

— Myślisz, że to Spiller przeciął ten sznur?

— Chyba naprawdę to był on — rzekł Strączek. — Rozumuję tak: wspiął się na drzewo po

^

-•-•«•*•••»?-••'•*\\

tym kawałku sznura wiszącego luzem i potem skoczył wyżej. Pamiętacie, jak ja się wspinałem^ trzymając się szpilki do kapfelusza? Dominika wpatrywała się w zarośla.

— Jeśli jego czółno jest pod tymi krzaczami, to dlaczego on sam się nie zjawia, żeby nas stąd zabrać?

— Jest pewno tak, jak wam już mówiłem — zaczął Strączek cierpliwie. — Spiller zaczął się i czekał, aż się ściemni. Ta rzeka to jego żywioł, on z niej żyje, on zna tu wszystkie zakamarki. Powinien był nas zabrać wcześniej, to prawda. Przypuśćmy jednak, że Jednooki rozpoznał go. Być może, że Cyganie dawniej już go przyuważyli — jego i to pudło. Może właśnie mieli go

! na oku, czyhali tylko na odpowiedni moment? Rozumiecie, co mam na myśli? Bo czasami... — Strączek urwał na chwilę, powiódł wzrokiem dookoła i zniżając głos, dokończył — zachowujecie się obie, ty i Arietta, jak gdybyście nie pamiętały, co to jest czujność. Tak jakbyście nie h słyszały nigdy, co to znaczy krycie się.., nie mówiąc już o tym, że należy bać się jak ognia, ażeby nie być widzianym. Tak, moje drogie, zachowujecie się tak, jakbyście nie należały do rodu Pożyczalskich, tylko jakbyście były... — Strączek zaczerpnął tchu, zanim wypalił: — Ludźmi!

— No, no, Strączku! — oburzyła się Domi-

f

U — Pożyczalscy na wyspie

• *.

nika. — Tylko bez takich porównań! Nie obrażaj nas!

— A poza tym — ciągnął dalej Strączek — Spiller przypuszczał, że nam nic nie grozi, możemy więc spokojnie czekać do nocy. Oczywiście, nie mógł przewidzieć, że ktoś będzie próbował złapać nas na wędkę...

Milczeli dłuższą chwilę.

Dominika wsłuchiwała się z zainteresowaniem w znajomy głos młodego policjanta. Nawet odsunęła się od Strączka, ażeby móc lepiej nadstawić ucha.

— No, idziemy! — mówił Ernest Pałeczka rozkazująco. — Żywo! Nie opierać się! Pokażcie, coście tam złowili! Co to, przepisów nie znacie? Aha... Ładne rzeczy! I to już nie pierwszy raz! A w tym koszyku — co tam jest?

Dominika, żeby lepiej widzieć, co się dzieje na brzegu, wskoczyła na gałązkę i stała tak z wyciągniętą szyją, dopóki Strączek nie szarpnął jej za rękę.

— Dominiko! — zawołał. — Zejdź w tej chwili!

Ale Dominika nie dała się oderwać od widoku tak interesującego.

— O, co on teraz robi... Przewraca wszystko w koszyku. Wyjmuje ryby... te, które Cygan złowił na wędkę... Tęczowe pstrągi, czy jak one się tam nazywają. Czekaj że! — zniecierpliwiła się, gdy Strączek mocno ścisnął jej palce.

210

•.♦♦%>-?♦♦♦♦! ♦♦♦♦!♦♦♦

?5v^vT%;

• ^♦♦♦♦♦♦\'

— Zejdź! — powtórzył Strączek błagalnie.

— Jeszcze chwileczkę, mój złociutki... — opierała się Dominika.

— Nie! — zaoponował stanowczo. — Chodźmy stąd, i to już, zaraz, dopóki oni są zajęci tam przy koszyku... Potem, za chwilę, jak światełko zgaśnie, zrobi się nad rzeką jeszcze ciemniej.

Dominika ustąpiła, choć dość niechętnie. To, co ujrzała w następnej chwili, zdumiało ją tak, że aż zaniemówiła: w pobliżu miejsca, gdzie stali, płynęło czółno Spillera, a na rufie siedział on we własnej osobie, razem z Ariettą. Widziała wyraźnie twarze obojga, białe w srebrzystym blasku księżyca. Dookoła panowała cisza, przerywana tylko chlupotem drobnych fal.

Dominika, oszołomiona tym niespodziewanym widokiem, zeskoczyła z gałązki.

— Spiller... — wyszeptała, bez tchu prawie. Potknęła się, straciła równowagę i padła wprost w objęcia Strączka.

Podtrzymał ją łagodnie i sprowadził nad wc-dę. Łódź Spillera tymczasem przybiła do brzegu.

— Wsiadaj — rzekł Strączek, pomagając jej stanąć na krawędzi pudełka do sztuców.

Dominika wahala się, nie miała odwagi. Spiller wyciągnął do niej rękę.

— Śmiało! — zachęcał ją. — Może się trochę zanurzy, ale to nic strasznego... Tylko dlatego, że takie naładowane. Może się nawet przechylić na bok. No, odważnie!

14*

211

L • ^ ~ •

Dominika podała mu rękę, a on pociągnął ją do środka. Była tak wzruszona, że nie mogła znaleźć słów, ażeby mu podziękować.

Spiller, małowimny jak zawsze, zachowywał się spokojnie i z godnością, jak przystało kapitanowi statku. Ruchem ręki wskazał miejsce Do-minice.

— Chodź, mamol — zawołała Arietta i ujawszy ją czule pod rękę, poprowadziła pod dach z uniesionej pokrywy. — Tu będzie ci cieplej i wygodniej.

•rtl

7L^v^:V;S

ywmmmmuww

<(&ËttiitmimiQm((mmi ttn """"tu"*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W głębi pudła od sztuców, pod pokrywę stanowiącą dach i osłonę przed zimnem, było ciemno i ciasno od nagromadzonych „różnych różności", jakich nabierał Spiller. Dominika i Arietta z trudem znalazły dla siebie miejsce w tej ciasnocie. Raz po raz coś się z góry waliło lub coś innego z boku uwierało. Wcisnęły się w kąt i siedziały tuż obok siebie, starając się zajmować jak najmniej miejsca.

W pierwszej chwili, gdy Strączek, stojąc na brzegu, odcumował czółno, a Spiller odbił się energicznie wiosłem, które zastępował mu płaski srebrny nożyk do masła, Dominika krzyknęła wystraszona.

— Nie bój się, mamol — uspokoiła ją Arietta. — Nic nam nie grozi, co najwyżej jeden czy drugi przechył.

Zaraz wypłyniemy na środek rzeki.

Czółno kołysało się łagodnie na wodzie, zgrabnie lawirując wśród fal i omijając niebezpieczne wiry rzeczne. Spiller wiosłował zręcznie i sprawnie jak doświadczony wodniak.

213

0 m

ow •

• + i

Strączek w ostatniej chwili przed odcumowa-niem wskoczył do czółna i Arietta ze swego kącika widziała poprzez półokrągły otwór obie sylwetki — ojca i Spillera — stojących na rufie, jak na obrazku ujętym w ramkę, w kształcie arkady. Nie słyszała tylko, o czym mówili, choć bardzo była ciekawa.

— Ostatnia godzina dla nas wybiła — biadała Dominika. — Żywi nie dopłyniemy...

Arietta pogłaskała ją po ręce i przytuliła się do niej mocniej. Dominika dygotała jak w febrze i wciąż nie mogła się uspokoić.

Księżyc sunął po niebie i zalewał stojące na rufie postacie srebrzystym blaskiem. Spiller tak lekko władał wiosłem, jakby to nie sprawiało mu żadnego wysiłku. Jeden raz tylko czółno za-kołysało się mocniej, wpadło zapewne na jakąś rafę podwodną, ale Spiller od razu odbił się zamasyżuje od dna i wymanewrował łódź z niebezpiecznej sytuacji. Strączek roześmiał się głośno i poklepał go z uznaniem po ramieniu.

Tymczasem w głębi pudła Dominika znalazła inny powód do biadania.

— A jeśli nawet dopłyniemy szczęśliwie, to co tam będziemy mieli? Nic a nic! Żadnych rzeczy, żadnych mebli ani co na siebie włożyć... Mamy tylko to, co na grzbiecie, a tam zastaniemy cztery gołe ściany... Cztery gołe ściany i co więcej?

214

:**•:•:L••. =?3v?S->:::s-a

— Jeszcze i dach nad głową — dokończyła Arietta. — I okna pewno także — dodała po chwili namysłu.

Dominika kichnęła głośno.

— Tak, jeśli dopłyniemy żywi! — burknęła, macając dookoła w poszukiwaniu chusteczki do nosa.

— Weź moją — zaproponowała Arietta, podając jej zwiniętą chusteczkę. — Twoja chusteczka popłynęła razem ze spódniczką.

Dominika wytarła sobie nos i poprawiła rozsypującą się fryzurę. Przez dłuższy czas siedziały obie w milczeniu, przytulone dół siebie, grzejąc się nawzajem. Dominika kiwała głową raz po raz, tak jakby wyliczała w myśli, czego jej jeszcze brak.

— Twój ojciec miał taką dobrą pilkę do przecinania metali — oznajmiła nagle. — Ale już jej nie ma. I co teraz będzie?

— Nie martw się o wszystko z góry, mamó! — uśmiechnęła się łagodnie Arietta. — Będzie dobrze, zobaczysz! Wszystko ułoży się najlepiej!

Strączek — chociaż nie mógł ze swego miejsca na rufie usłyszeć, o czym rozmawiają — przybliżył się do Dominiki, tak jakby wiedział, że w tej chwili należy dodać jej otuchy.

— Chciałbym ci coś powiedzieć — rzekł. — On nagromadził takie mnóstwo różnych rzeczy, że na pewno wystarczy nam na nasze własne gospodarstwo.

215

0 m

— Jakie to rzeczy? — zapytała Dominika, wciąż jeszcze nieufnie.

— No, przeważnie żywność.

— Żywność... A co jeszcze?

— Trochę narzędzi.

— Jakich narzędzi?

— Do krajania, piłowania, przecinania... Zastąpią ostrze nożyczek.

— Dobrze — ale przecież nie mamy się w co ubrać.

— Spiller mówi, że tam są różne materiały... będzie z czego skroić sukienki... i ubranie... dla nas wszystkich.

— Tam — to znaczy gdzie?

— No, w tym Małym Potoku.

— Skąd by się tam wzięło tyle rzeczy? — zapytała Dominika z powątpiewaniem.

— Spiller mówi, że Ludzie pogubili. Za każdym razem... to jest, co wieczór... można znaleźć wszystko, czego dusza zapagnie: rękawiczki, chusteczki, szaliki, nawet całe sweterki. Nie ma dnia, żeby

ktoś czegoś nie zgubił.

Dominika milczała dłuższą chwilę.

— Wiesz, Strączku — rzekła w końcu. — Przykro mi. Nigdy właściwie jeszcze nie podziękowałam Spillerowi.

— Nic nie szkodzi. On nie lubi podziękowań.

— Jednak powinniśmy okazać mu wdzięczność.

— I ja też o tym myślałam — rzekł Strączek. — Mam pomysł: możemy zbierać „różne

216

•••<?•"•|"••••••••:••.

.•:.v/;:-.*.v:^^s

<L?/^ ^^

-•**~« i«*,*w•

różności" dla niego, kiedy już sami urządzimy się na stałe. Co wieczór, po zamknięciu, będziemy szukali zgubionych rzeczy i odkładali osobną kupkę dla niego. Rozumiesz?

— Niezupełnie — przyznała szczerze Dominika.

W żaden sposób nie umiała wyobrazić sobie, jak to w tym Małym Potoku wygląda.

— Teraz na przykład — mówił dalej Strączek — przywiózł ciepły szalik wełniany. Radzę wam położyć się, rozebrać i okryć tym szalikiem. Dobrze byłoby przespać się choć trochę. Spiller mówi, że nie doptyniemy wcześniej jak o świecie.

— A ty co będziesz robił, Strączku? — zapytała Dominika.

— O mnie się nie martwcie — odparł Strączek. — Dał mi swoje ubranie.

— Ubranie? — powtórzyła jak echo Dominika.

— No, kurtkę i spodnie — odrzekł Strączek nie bez zakłopotania. — To, co nosi sam latem.

— Co nosi sam latem... — powtórzyła znów jak echo Dominika.

Strączek próbował zmienić temat:

— Weź szalik, Dominiko.

Dominika wzięła z jego rąk szalik i zaczęła go machinalnie składać. Pachniał trochę tak, jakby przesiąkł

oliwą, ale za to był bardzo ciepły.

— A więc jednak... — zaczęła po chwili zastanowienia. — To znaczy, że Lucy załatała

218

...". "...-..."•lirc0.

:&v>sv;n-s

w końcu to jego ubranie. Ale jakim sposobem ma on to wszystko z powrotem? — zapytała podejrzliwie.

— Pojechał i zabrał — odparł Strączek. Dominika ożywiła się.

— No i co? Rozmawiał z Lucy?

— Rozmawiał.

— Ale nie powiedział jej nic o nas?

— Na pewno nie powiedział. Znasz przecież Spillera. On nigdy nie powie zbędnego słowa.

— A Lucy? Co mówiła?

— Była podobno bardzo przejęta. Powiedziała, że straciła swoją najlepszą przyjaciółkę.

— Niby kogo?

— No, ciebie, to jasne. Mówiła, że byłeś dla niej jak siostra, kimś najbliższym na świecie. Podobno nawet chodzi w żałobie.

— W żałobie? Po kim?

— Po nas, oczywiście.

Strączek uśmiechnął się przy tych słowach. Dominika milczała chwilę — a potem uśmiechnęła się i ona, co więcej — parsknęła głośnym śmiechem. Widocznie wyobraziła sobie Lucy całą w czerni — i to ją tak ubawiło.

— Komiczne! — rzekła i, już rozpogodzona, zaczęła rozpinać bluzeczkę, ażeby rozebrać się i ułożyć do snu. — Masz, Arietko! — zawołała. — Łap!

I rzuciła jej ciepły szalik.

Arietta rozebrała się w kąciu, zwinęła się

219

w kłębuszek i z lubością nakryła aż po samą szyję wełnianym szalikiem. Ale po chwili wysunęła głowę

spod tej swojej kołderki i zapytała półsennym głosem: ,

- Powiedz, tatuśku... a kiedy Spiller zauważył nas?
- Moje dziecko — odparł Strączek z powagą. — Spiller zobaczył nas w bardzo groźnej dla nas chwili...
- Kiedy?
- W powietrzu — mówił dalej Strączek. — Kiedy wisieliśmy wszyscy troje na haczyku od wędki.
- Ojej... — wymamrotała Arietta.

Walcząc z ogarniającą ją coraz bardziej sennością, starała się odtworzyć w pamięci, jak to było.

- W powietrzu... A więc dlatego myśmy nie mogli go widzieć!
- I dlatego także nie spostrzegł go Jednooki.
- A co jeszcze zrobił Spiller? — dopytywała się Arietta.
- Skorzystał błyskawicznie ze sposobności: ześliznął się z gałęzi szybciotko i dał nura w krzaki.

Do rozmowy włączyła się także i Dominika.

- Ale dlaczego nas nie zawołał? Tego już nie rozumiem.
- Pewno wołał — odpowiedział Strączek —

220

tylko nikt z nas nie słyszał. Był za daleko. I przy tym ciągłym szumie rzeki...

- Ciszej! — upomniwała go Dominika, przykładając palec do ust. — Mała zasypia...

Strączek kiwnął głową na znak zgody i mówił dalej, już ścisząc głos:

- Wołał nas na pewno, ale myśmy nic nie słyszeli. Chociaż może... — Strączek przerwał i klepnął się w czoło, tak jakby nagle coś sobie uświadomił.
- Co takiego? — zapytała Dominika. — Ja nic nie słyszałam.
- Wiesz, teraz dopiero przypomniałem sobie — mówił Strączek szybko półszeptem.
- W momencie gdy haczyk od wędki zaczepił się

o naszą gałąź... — pamiętasz? — wydało mi się nagle, że słyszę głos: „Przetnij!” Wyraźnie słyszałem czyjś głos, ale myślałem, że to ty wołasz...

- Ja? — zdziwiła się Dominika.

— Tak, to z pewnością był Spiller — rzekł Strączek z przekonaniem. — Bez wątpienia!

— Bo ja przecież... — zaczęła Dominika.

Co mówiła dalej, Strączek nie słyszał. Z kącika dobiegł go tylko szelest zrzucanej odzieży. Po ciemku ściągnęła z siebie bluzkę i haleczkę

1 ułożyła się pod szalikiem, tuż obok Arietty. Po chwili wynurzyła się spod przykrycia jej głowa i ręka z małym zawiniątkiem.

— Może dałoby się powiesić gdzieś nasze rzeczy... jak myślisz? — zapytała. — Teraz dopiero

221

0 m

w » f ,

^—| widzę, jak to ||||| wszystko - — sukienka —-Arietty i mo-

ja bluzka, i bielizna — przemoczone jest do

nitki. i

— Zostaw te rzeczy tam, gdzie są — odparł

Strączek, odchrząknawszy lekko. — Na razie

niech leżą. A potem — zobaczmy.

Strączek walczył ze zbyt obszerną na niego kurtką Spillera, próbował ściągnąć ją paskiem i wcisnąć w spodnie.

— Rzeczy, takie czy inne... suche czy mokre — mówił na pół do siebie, na pół do Dominiki — dziś są, jutro ich nie ma... Tak było i tak chyba będzie z nami zawsze. Takie jest nasze życie...

— Co ty tam mamroczesz? — spytała Dominika, wysuwając się znów spod kołdry.

— Nic ważnego — odparł Strączek. — Mówię tylko, że można by rozwiesić wasze ubrania na drucie...

— Na jakim drucie? — spytała Dominika.

— No, wiesz sama na jakim. Na tym z żółtą juk bursztyn gałeczką.

— Dobrze — zgodziła się Dominika. — Masz! I cisnęła w niego zawiniątkiem z rzeczy swoich i Arietty.

— Widzisz, Dominiko — powiedział Strączek z powagą — z każdej; sytuacji w końcu znajdzie się jakieś wyjście.

— Ba! Ale ile się trzeba przedtem nagłowić!

— Moja droga — zaczął Strączek ostrożnie, żeby jej nie urazić — nie trzeba przewidywać

222

>.«.Vf: j:va 13S5Ś25E,

najgorszego. I nie widzieć wszystkiego od razu w czarnych kolorach. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Rozumiem — odpowiedziała cichutko Dominika. — Tylko że jak sprzysięgnie się zbyt wiele przeciwności losu...

— Z przeciwnościami losu trzeba walczyć — powiedział Strączek żywo — a nie poddawać się im biernie!

Dominika milczała chwilę, po czym westchnęła.

— Cóż robić? Takie już mam usposobienie — rzekła.

I widocznie chcąc zmienić temat, poprosiła: -4- Przybliź się, Strączku. Zbliżył się posłusznie.

Dominika wsparła głowę na łokciu i podciągnąwszy szalik pod samą szyję, komenderowała:

— Chodź tu! Stań tak, żebym cię dobrze widziała. Bliżej! Jeszcze bliżej. Szkoda, że tu tak mało światła. Obróć się! Jeszcze raz!

Rozsiała się wygodnie — i osłaniając usta dłonią, ażeby nie zbudzić Arietty, powiedziała ciepło i serdecznie — jak na nią nawet wyjątkowo ciepło i serdecznie:

— Ta kurtka wcale nieźle leży na tobie, Strączku.

I po chwili dodała:

— Nigdy bym nie przypuszczała, że będzie ci tak do twarzy w białym kolorze.

W przestronnej kuchni w domu we Wrzosowym Wzgórzu ogrodnik Felicjan odsunął od stołu krzesło, na którym siedział. Dłubiąc w zębach ostruganą jak wykałaczką zapalką, wpatrywał się zamyślony w węgielki, tłące się w palenisku pod blachą.

— Dziwne... — mruknął do siebie. Kucharka Dorota, która właśnie zmywała po

obiedzie, znieruchomiła na chwilę z głębokim talerzem w ręku, ociekającym wodą. Jej chytre oczka błysnęły podejrzliwie.

— Co takiego?

- Nie, nic — odparł Felicjan wymijająco.
- Ale co jest takie dziwne?
- Coś, co widziałem.
- Na targu?
- Nie. Dziś wieczorem, kiedy wracałem do domu...

Felicjan zamilkł, wciąż jeszcze wpatrzony w drzwiczki kuchenne, za którymi dogasał ogień. Wrzucił do ognia połamaną zapalkę.

- Pamiętasz — zapytał, pocierając czoło, jak gdyby to mogło ułatwić mu zebranie myśli — pamiętasz, Doroto, zeszłego roku — było to chyba w lipcu czy może w sierpniu... wtedy...
- Co było? — zniecierpliwiła się Dorota.
- Zrywało się w kuchni podłogę — pamiętasz?

Dorota zmarszczyła brwi. Widocznie nie w smak było jej to przypomnienie. Zacinając wargi, ustawiała talerze jeden na drugim w piramidę, a potem wrzuciła łyżki do miednicy z taką złością, aż głośno brzęknęły.

- Przypominam sobie. No i co z tego?
- Mówiłaś wtedy, że pod podłogą zagnieździły się myszy.
- Jakie znów myszy?
- Mówiłaś, że myszy. I to nawet tresowane.
- Och, zmyślasz, mój drogi!
- Jak to — ja zmyślam? Podobno widziałaś na własne oczy... Biegały i piszczały... I było ich całe mnóstwo. Tak sama opowiadałaś.
- Nic nie pamiętam.
- A nie pamiętasz, żeś wzywała szczuroła-pa, żeby je wykurzył? I policjant wtedy także przyszedł, taki młody chłopiec, nazywał się Ernest Pałeczka. Naprawdę nie przypominasz sobie.
- Pierwszy raz słyszę.
- Jak to, nie pamiętasz, żeś wskoczyła na stół i wrzeszczała jak opętana?

Kucharka Dorota, zamiast odpowiedzi, wzruszyła pogardliwie ramionami. Ale Felicjan nie dawał za wygraną. Przysunął krzesło do stołu i prawie siłą posadził na nim Dorotę. Stanął naprzeciwko niej, nachylił się nad nią i patrzył jej prosto w oczy.

— Krótką masz pamięć, Doroto — rzekł ironicznie.

Dorota milczała chwilę, zanim powiedziała:

— Przypominam sobie jak przez mgłę... Ale co z tego? Rzeczywiście, coś tam biegało pod podłogą, piszczało i skrzeczało. Może i widziałam, ale...

Przerwała i dopiero po chwili, zaczerpnąwszy tchu, dodała:

— Powiem ci coś Felicjanie. To wcale nie były myszy.

— Tylko co?

— Jakieś figurki. Wyglądały jak p r a w d z i-w i ludzie. Tylko że takie malutkie, ot, tycie.

I Dorota pokazała na swym małym palcu, jakie malutkie były te figurki.

— A jedna z nich nawet... — zaczęła po chwili i nie dokończyła.

Felicjan chwycił ją za rękę.

— Mów dalej!

— Jedna z ich nawet miała... papiloty! Rzuciła okiem na niego, ażeby sprawdzić, czy

Felicjan się z niej nie śmieje. Ale nie, nie śmiał się wcale. Pokiwał tylko głową parę razy w zamyśleniu.

226

— No, tak — powiedział z wolna. — Gdyby te skrzaty zostały tu jeszcze, zauważyłoby się je z pewnością. Ale przecież nie miały się gdzie podziać — ciągnął dalej, myśląc na głos. — Podłoga została zerwana, a dziura pod zegarem w ha-lu zacementowana. Tak, nie ulega kwestii...

— A może ukryły się gdzie indziej? — zaczęła z powątpiewaniem Dorota. — W domu jest parę pokoi zamkniętych na klucz, nikt tam nie wchodzi — może tam właśnie siedzą?

— Nie — odpowiedział Felicjan. — Gdyby gdzieś jeszcze były, natrafiłoby się na jakieś ich ślady. Zwłaszcza teraz, kiedy już raz zostały wykryte.

-*- A więc co się z nimi stało, jak myślisz?

— Aha, przyznajesz już teraz, że ci się nie przywidziało! — zawołał Felicjan z triumfem.

Dorota znów wzruszyła ramionami.

— Zdążyły pewno uciec... — mruknął Felicjan pod nosem, ni to do niej, ni to do siebie.

— I co cię tak nagle napadło? — zapytała Dorota. — Przypomniałeś sobie stare dzieje!

— Tak sobie tylko myślę... — mówił Felicjan i nagle zagadnął Dorotę: — Pamiętasz szal, ten, który robiłaś na drutach?

— Jakiego koloru?

— Szary. Ciemnoszary.

— Pamiętam — a bo co?

— A pamiętasz, jakiego koloru były druty?

— Druty?... Czekaj no... Druty jak druty, tyl-

15*

227

ko gałki miały w różnych kolorach. Te były chyba wszystkie z różowymi główkami.

— Przypomnij sobie dobrze, czy aby na pewno wszystkie.

— Ależ pamiętam: gałki różowe jak koraliki.

— Jak koraliki, powiadasz?

— Poczekaj chwilę. Zaraz ci pokażę. Dorota podeszła do stojącego w kącie kuchni

kredensu, wyciągnęła szufladę, w której trzymała swoje rzeczy osobiste, przewracała w niej parę minut, aż w końcu wyciągnęła pęk drutów, związanych kawałkiem włóczki.

— Widzisz? Mają gałeczki kolorowe. Ale o co chodzi, dlaczego o to pytasz?

Felicjan wziął do ręki druty i przez dłuższą chwilę obracał je w ręku.

— Tak, różowe — stwierdził. — A mnie się zdawało, że były żółte.

— Ależ ty masz pamięć, Felicjanie! — zdziwiła się Dorota. — Nigdy bym nie przypuszczała, że możesz takie rzeczy pamiętać! Jeden był rzeczywiście z żółtą główką. Taki żółciutki jak bursztyn. Co ja się go naszukałam! Zginął, przepadł jak kamień w wodę! A przecież nikt go nie ukradł!

— Żółciutki jak bursztyn... — powtórzył Felicjan.

— No i co? Znalazłeś go może? — zainteresowała się Dorotą.

228

Felicjan potrząsnął głową i odpowiedział znacząco:

— Czy go znalazłem? Nie, niezupełnie.

Trzymał w ręku jeden z drutów i wymacał jego grubość palcami, jakby przymierzał go w myśli do innego. Tak, taki sam i chyba tej samej długości, chociaż nie oglądał go całego... Przypominał sobie, jak lśnił na tle czarnej wody bursztynowożółty łebek, opalizując w świetle księżyca.

Bo było to tak: tego wieczora Felicjan, wracając do domu, zatrzymał się na mostku nad rzeką i patrzył w wodę. Przez chwilę zdawało mu się, że nurt niesie jakieś niewielkie pudełko. Wyteżył wzrok i ku swemu wielkiemu zdumieniu zauważył, iż fale pruje raz po raz małe, połyskliwe wioselko. Wyglądało to tak, jak gdyby wodę roz-krawał rytmicznym ruchem srebrny płaski nożyk. I samo pudełko też miało dziwny kształt: przypominało kadłub statku, z wybrzuszonym pośrodku pokładem. Na drucie sterczącym ku przodowi jak maszt, na drucie z bursztynowożółtym łebkiem wisiały niby malutkie flagi sygnalizacyjne różne części miniaturowej garderoby: spodenki, majteczki, spódniczki, bluzeczki, wszystko to ukoronowane powiewającą na wietrze czerwoną haleczką. Za burtą tego dziwnego statku zwisały skręcone jak węgorze malutkie, czarne pończoszki.

„Jakaś zabawka dziecinna — pomyślał w pierwszej chwili Felicjan — wyrzucona do wody”.

Ale, o dziwo, stateczek poruszał się tak, jakby był sterowany świadomie — i w momencie gdy dopłynął do mostka, Felicjan ujrzał na własne oczy bielejącą w świetle księżyca malutką twarzyczkę, nachyloną nad rufą. Rysów jej nie mógł z tej odległości dojrzeć. I znów śmignęło niby rybi ogon lśniące srebrne wioselko — a po chwili stateczek przepłynął pod mostkiem i znikł mu z oczu.

„Nie — postanowił w duchu Felicjan — nie powiem o tym Dorocie ani słowa”. W pamięci odtworzył obraz, na który patrzył, gdy stał przechylony przez balustradę mostka: ciemna sylwetka płynącej z prądem łodzi na tle srebrzystej wody, trzepocące na głównym maszcie maleńkie ubranka. Stawała się coraz mniejsza i mniejsza, aż wreszcie, kiedy wpłynęła w cień nadbrzeżnych drzew, pochłonęła ją ciemność.

Felicjan westchnął, oddał pęk drutów związanych włóczką Dorocie, ona zaś, wzruszywszy ramionami, wrzuciła je z powrotem do szuflady kredensu.

Nie, nie powie Dorocie o tym, co widział na mostku. Kiedyś — może, ale nie dziś. Nie, dziś jeszcze nic jej nie powie.

OBJAŚNIENIA

feniks — według dawnych wierzeń egipskich ptak, który co pewien czas spalał się w swym gnieździe i ponownie odradzał się z popiołów

masztalerz — starszy stajenny

rekonesans — tu: rozpoznanie terenu

pterodaktyl — wykopaliskowy gad latający, przypominający wyglądem nietoperza

serso — gra polegająca na rzucaniu i chwytaniu kółek na specjalne kijki; w grze bierze udział dwu lub kilku graczy.

*jLz&&Jg& :>w>>W^a

Cykl książek o Pożyczalskich zawiera następujące tomy:

KŁOPOTY RODU POŻYCZALSKICH

POŻYCZALSCY IDĄ W ŚWIAT

POŻYCZALSCY NA WYSPIE

POŻYCZALSCY W PRZESTWORZACH

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1972. Wydanie II. Nakład 20 000+277. Ark. wyd. 8,1. Ark. druk. 11,95. Papier druk. mat. kl. V, 70 g, 82X104/32 (Myszków). Oddano do produkcji w czerwcu 1971 r. Podpisano do druku w grudniu 1971 r. Druk ukończono w lutym 1972 r. Łódzka Drukarnia Dziełowa, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45. Nr zam. 1352/A771. U-81